Nr. 10. Lwów, dnia 15. października 1895. Rok XVIII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Kynegetika.

Napisał Władysław Spausta.

II.

Pies łowiecki narodów klasycznych — literatura kynelogiczna tychże — wpływ Rzymian na dzieje psa środkowo-europejskiego — pies staro-germański, epoki Piastowskiej i pierwszych Jagiellonów.

Szczerzebym pragnął wstąpić odrazu na grunt dziejów naszego psa, ale w takim razie bardzoby się musiał zacieśnić widnokrąg, bo wieki, w których nasze plemię poczyna występować na widowni dziejowej, były czasem największego zastoju w rozwoju cywilizacyjnym. Zastój ten dotknął podówczas wszystkie gałęzie działalności, naukę i piśmiennictwo i jakaś niebywała ciemnota literacka ogarnęła całą Europę. Gdy więc o nas samych albo nic albo bardzo mało wiedziano, to trudno żądać, abyśmy z tych czasów posiadali jakie wiadomości o psie na naszych ziemiach.

Zmuszony przeto jestem rozszerzyć nieco widnokrąg i rzucić choć pobieżnie okiem na psa w innych krajach Europy środkowej, który niezawodnie, urósłszy tam w podobnych stosunkach klimatycznych i etnicznych i posiadając nieco dawniejszą historyę, dzięki geograficznemu położeniu tych krajów i bliższym z państwem rzymskim stosunkom, wyświecić może choć trochę przez analogię i dzieje psa naszego. Nie posiadaliśmy niestety naszego Cezara, Pliniusza i Tacyta, a na wschodnich kresach Germanii, jak powiada Tacyt, stanowiła „wzajemna bojaźń“ wał graniczny od Słowiańszczyzny, więc nic prawie nie wiemy o naszych stosunkach ówczesnych z tych źródeł historycznych. Zwyczaje łowieckie i prawa, porównane z prawami Niemców, które daleko wcześniej spisane zostały, przekonują nas wszakże, iż zasady myśliwskie u Słowian w najdawniejszych wiekach, chociaż nie spisane, podobne były do praw niemieckich, dopiero w r. 945, zbiorowo przez cesarza Ottona wydanych. Prawa ziemskie niemieckie a u nas zachowane tłumaczył Paweł Szczerbicz, syndyk lwowski 1581 r.

Że narody, rozsiadłe na ziemiach środkowej Europy, posiadały od wieków psa domowego, o tem się tu już rozwodzić nie potrzebuję, bezustanna zaś styczność i graniczne stosunki Gallii i Germanii, a później Słowiańszczyzny z krajami klasycznymi nad morzem Śródziemnem, sprowadziły już dawno pewne wyrównanie ras psa łowieckiego, których hodowla i bardzo umiejętne użycie w łowiectwie u Greków i Rzymian gubi się w mytach dziejowych.

W późniejszych czasach znajdujemy u narodów prace piśmiennicze o psie łowieckim, z których można powziąć wyobrażenie o fachowej znajomości przedmiotu i wybitnej roli, jaką odegrał pies w łowiectwie tych narodów. Doświadczenia te — po zetknięciu się młodzieńczej siły narodów środkowo europejskich ze zgrzybiałą już kulturą grecko-rzymską — przyczynić się musiały niemało do szybkiego wydoskonalenia sztuki łowieckiej tamże, a gdy sztuka ta, tak u Greków jak i u Rzymian, prawie wyłącznie na użyciu psa polegała, pisma specyalne starożytnych zdziałały bardzo wiele na polu udoskonalenia się hodowli i sposobu uży-

cia psów u narodów młodszych. Już ojciec historyi, Herodot opowiada o wielkich psiarniach króla Cyrusa a po luźnych jego wzmiankach poświęca Ksenofont (ur. 450 przed Chr.) bohaterski wódz słynnych 10.000 Greków, autor mnóstwa historycznych dzieł, pióro swe także i łowiectwu. Jego dzieło „O polowaniu“ jest apologią łowów, w której Grek patryota leje ożywcze balsamy na swe społeczeństwo, dotknięte już rozkładem moralnym nauk sofistów. Autor mówi o rozmaitych rasach psów łowieckich, o użyciu tychże w łowach na różnego zwierza, poucza o wychowaniu szczeniąt, o układaniu ich i w ogólności czyni wrażenie praktycznego znawcy — nie bez wady myśliwego — bo zaprawia swe opowiadanie zmyśleniami, na jakie chyba tylko gorąca fantazya Greka zdobyć się mogła. I tak np. rozpatrzenie dzika atakowanego przez psy ma być tak straszne, że w miejscu, gdzie zwierzę to wymierzyło szablą cios ku psiemu ciału, mimo chybienia celu, włos się opala, co trochę już za wiele, nawet pod gorącem słońcem Hellady.

Uzupełnieniem poniekąd dzieła Ksenofonta jest Arriana Flaviusza w I. wieku po Chr. praca „Kynegetika“ a niemal współczesny mu Oppianus z Cylicyi opiewa wierszem łowiectwo w tak samo nazwanym utworze „Cynegetika“. Poeta najświetniejszej augustowskiej epoki Gratius Faliscus w heksametrze opiewa również „Cynegetica“. Najpopularniejszym jednak i prawie na wszystkie języki nowoczesne przetłumaczonym stał się utwór poetyczny również p. t. „Kynegetica“ Marka Aureliusza Nemezyana, Kartagińczyka, żyjącego około 280 lat przed Chr., w którym autor opiewa głównie wychów i użycie psów i koni łowieckich.

Gdy potężna prawica Karola Wielkiego pokusiła się o podniesienie idei upadłego państwa rzymskiego, gdy wreszcie korona Augustów spoczęła na skroni odnowiciela dawnych tradycyj, wtedy wpływ dawnej kultury szerokim lał się strumieniem na cały ogromny obszar tych ziem, które Rzymianin z pogardą *terra barbara* nazywał, a również w łowiectwie okazuje się rozwój niezaprzeczony.

Już sam uparcie powtarzający się tytuł dzieł klasycznych o łowiectwie, wskazuje, że łowiectwo w pojęciu starożytnych polegało na psie, że więc nauka o psach była zarazem nauką łowiectwa. Że zaś u narodów środkowoeuropejskich niezawodnie podobne istniały pojęcia, więc niedziw, że pisma te wnet spopularyzowały się po Europie, a utwór Nemezyana czytano nawet w szkołach za czasów Karola Wielkiego.

Dla narodów północnych, otrząsających się nieco ze swych dawnych zwyczajów, powabnym dźwiękiem brzmiały echa od dalekiej Afryki brzegów. I treść i wykwintny język klasycznej przeszłości w wierszach Nemezyana głaskał zmysły na ziemi, powołanej do życia cywilizacyjnego i witał na tej nowej dziejowej scenie w swój sposób wspaniały boginię łowów:

„Witaj Dyano! boskiej Latony zaszczycie!...
. . . .
„Objaw, otwórz nam w kniejach koczowisko zwierza!
Ktokolwiek lubi łowy, niech za nami zmierza,
Komu przykre są kłótnie i matactwa prawa,
Komu przykrą jest miejska i wojenna wrzawa,
I nie szuka po strasznym zysków Oceanie,
Ten o wyżłach i gończych niech już ma staranie“.

Piśmiennictwo specyalne narodów Europy środkowej, obudziwszy się stosunkowo bardzo poźno, pozostawało długo pod wpływem dzieł starożytnych, z których najgłówniejsze tutaj wymieniłem. Jeszcze w XVI. wieku są wielką rzadkością dzieła, w których wpływu tego nie widać, i które przez to samo malują w barwach więcej naturalnych spółczesny stan sztuki łowieckiej.

Przez długi bardzo czas milczą na tem polu Niemcy, a pierwsze i najstarsze dzieła o psie łowieckim i jego zastosowaniu w łowach *par force* i w sokolnictwie piszą Francuzi, dzieło bowiem cesarza Frydryka II., zmarłego w r. 1250, wyłącznie tylko o sokolnictwie i unoszeniu ptaków traktuje. W czasach Ludwika Świętego (1226—1270) poemat dydaktyczny *Le Dit de la chasse du cerf* rozpoczyna literacką na polu kynologii działalność. W Niemczech pojawia się dopiero w r. 1582 *Neues Jagd u. Weidbuch* z nauką, *wie die Hunde zu allerlei Wildbrät abzurichten*, a w r. 1597 *Jägerhörnlein* — i oba te dziełka są kompilacyą prac francuskich XVI. stulecia.

W stanie patryarchalnych czy to gminowładnych rządów społecznych, gdzie łowy w ogólności są wolnem prawem każdego, pies narodów środkowo-europejskich musiał spełniać bardzo wszechstronną misyę, podobnie jak to się dzieje jeszcze i po dziś dzień u narodów, pozostających w prymitywnym ustroju społecznym. Jak dziś u Wotjaków i Czeremisów, tak i podówczas był utrzymywany powszechnie jeden zawód psów, łączący w sobie bodaj w części pojedyńcze przymioty ras kulturnych. Wszelka rasa jest wynikiem nietylko stosunków przyrodniczych ale także hodowli, i w ogólności tych wszystkich środków, jakimi człowiek rozporządza, dążąc do pewnych celów. Gdzie niema hodowli tylko udomowienie, tam nie mogą być i rasy hodowlane, lecz tylko zawody lokalne, wywołane stosunkami przyrodniczymi. Stąd też u wszystkich narodów dzikich uderza w ogólności między zwierzętami domowemi ogromne wyrównanie i to na ogromnych pasmach krajów, posiadających podobne warunki przyrodnicze.

O rasach psów germańskich z czasu gminowładztwa, pomimo rzymskich historyków, którzy się bardzo skrupulatnie Germanią zajmowali, nie wiele da się powiedzieć. Jest jednak wielkie prawdopodobieństwo, że pod bezustannym wpływem kultury z południa, wytworzyć się tam musiały bardzo wcześnie pewne specyalne rasy psów łowieckich, o których później mówią staroniemieckie prowincyonalne prawa sięgające połowy V. wieku. Pies starogermański, podczas pierwszego zetknięcia się tych narodów z potęgą Rzymian, musiał być jakiemś podobnem stworzeniem jak obecny pies narodów myśliwskich w niektórych zakątkach Europy. Pies ten, pod którego kosmatą sukienką krył się wypróbowany przyjaciel człowieka, towarzyszył w czasach wojny pochodowi i taborom, a gdy w r. 101 przed Chr., oręż rzymski pokonał wreszcie najezdnicze hordy Cymbrów na polach pod Weroną, gdy już brakło mężów, musieli Rzymianie walczyć z kobietami a wreszcie z zajadłymi psami, strzegącymi do upadłego prowiantów i bagaży poległych swych panów. Były to niezawodnie te same psy, które strzegąc w czasie pokoju idylli domowej, lub uganiając przy dźwięku rogów za turem i niedźwiedziem, towarzyszyły swym panom i na pola Marsowe.

To pierwsze zetknięcie się jednak było zapowiedzią coraz to większego zbliżania się narodów, a gdy w r. 53 przed Chr. znów legiony Cezara już w agresywnej roli pojawiły się wśród puszcz germańskich i gdy weszło w zwyczaj wcielanie Germanów pod rzymskie orły — rozmaitemi drogami szerzyć się musiały tam rzymskie zwyczaje i psy dawnej rzymskiej kultury w rozmaitych rasach napływały coraz dalej na północ.

Staroniemieckie prawa, jakkolwiek o wiele późniejsze, mówią o rasach psów germańskich, które niezawodnie już tam długo istnieć musiały. Prawo Salickie wspomina o psach gończych nazywając rasę tę *canis sigucius magister*, inne z tak zwanych *leges barbarorum* mówią o innych, lex Alemanorum i lex Bajuvarorum nazywa charta: *canis veltris qui leporem non persecutum sed sua velocitate comprehendit*, farbowca zwią *canis vestigabilis*, psa na bobry i borsuki *canis qui sub terra venatur* albo *canis bersavius, bibracco, castorius*; znachodzimy tam wyżła na kuropatwę *canis qui ligamina novit* a wreszcie są tam wzmianki o brytanach, do turzych i niedźwiedzich łowów: *canes qui ursis vel bubalis id est feris majoris quod Szwarzwild dicimus persecuntur.*

Prawo fryzyjskie mówi o psie na wilki: *qui lupum occidere solet*, a w końcu o psie sokolniczym *canis acceptoricius.*

Czem niezbędniejszym był pies, czy to w wykonaniu łowów, czy też w świadczeniu innych usług, tem wyżej go też ceniono. Według starych praw burgundzkich zabójca psa straszną ponosił karę; oto według naszej i po dziś tak popularnej propozycyi: „całuj psa w nos, gdzie mu ogon wyrósł“ musiał dosłownie spełnić tę ceremonię na zwłokach. Za kradzież psa znajdujemy w prawach staroniemieckich wysoką karę pieniężną; złodziej płacił za psa łowieckiego 12 szilingów, za psa owczarskiego 3, za wołu 3, za konia 6.

Echa żalów Homera nad zwłokami Odyseuszowego Argosa odbijają się po dalekiej północy, a bardowie uwielbiają pod niebiosy czyny psów swoich bohaterów.

Pobieżny ten rzut oka na dzieje psa niemieckiego, pozwala nieco pewniejsze stawiać kroki, gdy wreszcie spoglądniemy na ten wielki obszar ziemi na Wschodzie, który jakkolwiek odgraniczony niegdyś wałem wzajemnej bojaźni, coraz to częściej z biegiem czasu stawał otworem dla wpływów Zachodu, aż wreszcie na całej linii zerwanego wału zawrzała długa, nieskończona walka szczepowa.

W dalekiej, od reszty świata grodami natury oddzielonej puszczy Słowiańskiej, słychać szczekanie psa. Tam ludzie mieszkają, od dzikich zwierząt i złych ludzi strzeże wierny kundys kolebki pokolenia, zanim Nemezis dziejowa nie wyprowadzi go na widownię historyi. Pies razem z rodziną i domownikami stanowi całość, towarzyszy dobytkowi, spędza i strzeże trzodę, a gdy przyjdzie się zmierzyć czy to z dzikiem, współzawodnikiem bytu, czy z napaścią wroga, jedna myśl ożywia psa i człowieka i walczą obok siebie odwieczni dwaj sojusznicy. W takim stanie rzeczy z pewnością nie istniały rasy psów w dzisiejszem tego słowa znaczeniu, nikt sobie nie przywłaszczał pewnych dla siebie tylko praw, kmieca równość i wolność korzystania z różnych darów bożych zadawalniały się psem, który służył do wszystkiego.

Lecz na zachodnich kresach stan takiej idylli nie mógł stawić czoła burzom grożącym, trzeba się było poddać władzy jednego. Gdy to nastąpiło, skończyła się sielanka równości i prawdziwej wolności, a styczność z sąsiadami jakoteż coraz większe występywanie indywidualizmu, opartego na władzy, z którą według ówczesnych pojęć łączyła się i własność ziemi, stały się powodem, że pies nasz historyczny występuje po raz pierwszy w orszakach tych, w których ręku spoczęła i władza hetmańska i panowanie nad ziemią, wraz z roszczeniami do wyłączności łowiectwa.

Styczność ta z Niemcami, u których, jak to wykazałem, od dawna już istniały rasy psów do specyalnych łowieckich celów, utwierdza w przekonaniu, że niezliczone psiarnie na dworach pierwszych naszych książąt i wojewodów, posiadać musiały co najmniej te wszystkie rasy, o których wspominają niemieckie prawa. Jest to wprawdzie tylko domysł, ale domysł na wielkiem oparty prawdopodobieństwie, w braku wyraźnych wskazówek bezpośrednich, wszystkie bowiem z tych czasów pochodzące pomniki pisane o naszym psie łowieckim, wspominają tylko o psiarniach i psach w ogólności.

Już w zaraniu epoki piastowskiej na dworach książąt, obok innych funkcyonaryuszów łowieckich, występują t. zw. *venatores* t. j. łowczowie. Urząd ten, urósłszy później do znaczenia wielkiego, bardzo skromnie się rozpoczął, bo zakres działania tych urzędników kończył się pierwiastkowo — jak to świadczą dokumenta — na zarządzie psiarniami i układaniu psów. Łowczy a psiarz znaczyło jedno i to samo; to też często spotkać można w edyktach książęcych podobne zwroty: *venatores nostri qui psiarze nominantur.*

O wspaniałem urządzeniu psiarni już na dworze Bolesława Chrobrego wspominają kronikarze, lecz instytucye te, podobnie jak w ogólności urządzenie całego łowiectwa na dworze pierwszych Piastów, nie mogło być dziełem jednej chwili, a książęta piastowscy zastać musieli już pewne urządzenia poprzednich władców lechickich i nie obalali ich, ale „owszem prawie wszystkie urządzenia i zwyczaje królestwa Piastów miały przez długie wieki wyraźną cechę lechicką“ (Szajnocha Lechicki pocz. Polski str. 181). Niezawodnie, że i na polu łowiectwa łączyły się wpływy niemieckie ze zwyczajami przyniesionymi z dalekiej północy, być może, iż od brzegów Skandynawskich napływały od dawna wraz z drużynami Normandzkiemi świeże zawody psów północnych, olbrzymich dogów, których właśnie jak najwięcej potrzebowano do osadzania grubego zwierza, i że stan urządzonych już do pewnego stopnia psiarni książęcych zastali już władcy z rodu Piastów, i utrzymywali go w czasach późniejszych.

Bezmierne puszcze leśne jakoteż szalona namiętność do łowów, w których wytrwałe i silne psy były głównym czynnikiem, spowodowały urządzenie bardzo licznych bo po kilkaset sfor liczących psiarni w rozmaitych stronach kraju, a głównie w miejscowościach bogatych w zwierzynę. Psiarnie, przy których zarodkowały się i całe pułki łowieckie z liczną służbą, dały później niejednej osadzie, warowni lub miastu początek. Utrzymanie złai psów było obowiązkiem nieszczęśliwych poddanych, uwalnianych znów zato od innych danin i powinności. Podczas gdy większe psiarnie zostawały pod zarządem osobnych urzędników i służby, rozdawano znów pomiędzy ludność pojedyńcze sfory psów niby na pensyę, podobnie jak to się działo za Karola Wielkiego w Niemczech, gdzie dla zapobieżenia zamianie psów, znaczono je wystrzyżeniem włosa po prawej stronie lub wypaleniem piętna.

Już w IX. wieku żywiono psy łowieckie w Niemczech przeważnie osypką zbożową a mianowicie owsem. Zwyczaj ten wszedł u nas nieco później w życie, gdy wzmagała się zbożowa produkcya kraju. Istniały wtenczas bardzo powszechnie podatki dla psiarń książęcych pod nazwą „osep“, „srezna“, „porzeczne“. Były to daniny przeważnie owsa, jak to znów z późniejszych dokumentów widzieć się daje: *avena, quod vulgariter porzeczne vel srezna vocatur.* W niektórych miejscowościach utrzymały się te podatki aż do najnowszych czasów. I tak np. miasto Gostyń dawało 300 korcy owsa rocznie aż do politycznego upadku narodu, poczem Rosyanie zamienili tę daninę na opłatę pieniężną. A wszystkiemu winien był pies łowiecki średniowiecznych możnowładzców.

Wzmianki o powinności dawania psiarniom królewskim główa sokołom wątrób zwierząt zabitych, gubią się dość wcześnie; myśl o wydatniejszym owsie zaprząta głowę i ruguje z dokumentów główki i wątróbki bydląt. Ale długi dość czas tak w Wielkopolsce jak i na Mazowszu istniał obowiązek dawania tych odpadków dla psiarń, który też i w dokumentach „psiarskie“ się nazywa. Naiwnie dla naszych pojęć brzmi np. taki przywilej głowy koronowanej mówiący o głowach i wątrobach: *Relaxamus etiam capita animalium, quae pro canibus nostris, sive jecora, quae pro falconibus nostris accipiebantur a carnificibus loci* (Przywil. Bolesława Wstydliwego z r. 1264, nadany kanonikom Miechowskim).

Czytając o tych predylekcyach średniowiecznych, mimowolnie trzeba zadać sobie pytanie, dlaczego właśnie ku tej części zabitych bydląt zwrócił się gust ówczesny. Myślałem często i wiele o tych gustach i jakoś nie spotkał mię los wiadomej wrony, owszem mogę się podzielić z łaskawym czytelnikiem moimi domysłami. Jeżeli się i tu godzi porównać starożytność germańską z przeszłością naszą, to zwyczaj ten pochodzi z czasów pogańskich, o czem wspomina Tacyt (*Annal. I. 61.*) Łowcy germańscy w czasach tego historyka zawieszali na drzewach bogom na ofiarę patrochy, głowę i skórę zwierząt ułowionych. Podobne zwyczaje, o których znaczeniu zaginęła wszelka tradycya, istnieją jeszcze miejscami i u nas, a wspomina o tem jeden z naszych starszych myśliwych i znawca myśliwskich przesądów: „Strzelcy niektórzy i gajowi wieszają na płotach i bramach głowy zwierząt, ptaki albo ich skrzydła; strzeże to ich od czarów i sprowadza szczęście“. (Józef hr. Dunin Borkowski „O polskim języku łowieckim i o świecie łowieckim“. Rozprawa, przedrukowana ostatni raz w „Łowcu“ 1878 str. 81.) Z nową wiarą znikło i znaczenie rytuału pogańskiego, a utrzymał się martwy zwyczaj. Stąd może ów gust do głów i wątroby, przez którą niezawodnie wszystkie wnętrzności rozumiano — stąd może „odprawa“ psów myśliwskich tj. porzucanie tymże na pożarcie patrochów, zwyczaj, który na gruncie racyonalnym nie da się dostatecznie wytłumaczyć, bo takie obdzielanie psiarni cząstką łowieckiej zdobyczy, mogło tylko zaostrzyć apetyt także i do tej lwiej części, którą sobie człowiek pozostawiał i jak to w samej rzeczy bardzo często się zdarzało.

Pomimo, że niemal wszyscy nasi kronikarze mówią jednogłośnie o łowach w czasach piastowskich jako o wyłącznym monopolu korony, i że niezawodnie tak było w czasach, gdy władza łączyła się z własnością ziemi, to przecież wykonaniem łowów na wszystką zwierzynę nie zajmowało się łowiectwo koronne. Należał do tego tylko gruby zwierz, a łowy na drobniejszą zwierzynę pozostawiano poddanym, którzy za wolność tę płacili znów koronie daniny w skórach. Są to owe *aspergilia*, o których kronikarze wspominają już za czasów Bolesława Chrobrego. Z tych czasów niezawodnie pochodzi podział łowiectwa na dwa a względnie i na trzy gatunki, podział, który osobliwie w Niemczech bardzo wyraźnie się zaznaczył i przetrwał aż do ostatnich czasów, t. zw. *Hoch-, Mittel- und Nieder-Jagd*.

Łowiectwo grubego zwierza, do którego u nas zaliczano tury, żubry, niedźwiedzie, jelenie a względnie rysie i łosie, warowane było nawet w najdalej sięgających przywilejach Piastów na rzecz korony — a zwierzyna ta sama przez się mówi o rasach i zawodach psów, jakich psiarnie królewskie do takich łowów wymagały. Były to w całem tego słowa znaczeniu walki leśne, w których myśliwi z białą bronią wyczekiwali dogodnej chwili, aby zbliżyć się do osaczonego przez ciężkie psy zwierza, albo konno ścigali wraz z psami płochego łosia lub jelenia. W łowach takich rohatyna i oszczep przy pomocy psów dokazywały cudów, a potężny zwierz nie dozwalał użycia sieci, choćby jakich, pomimo, że znano je i używano u nas od najdawniejszych czasów na drobniejszą zwierzynę, a na dworach funkcyonowali sieciarze t. zw. *retiferi* już za czasów Chrobrego.

Z małymi wyjątkami książęta i królowie z rodu Piastów nie różnili się nazbyt w swych zapatrywaniach na łowiectwo od obcych książąt i ich poglądów, które się nam tak barbarzyńskimi dziś wydają, a jakie panowały podówczas w całej Europie. Może sprawiedliwymby był ów znany anioł, podszeptujący papieżowi, aby niedał Mieczysławowi królewskiej korony, bo jego potomkowie przekładać będą „psy nad ludzi“, gdyby objaw ten nie był zbyt ogólną cechą całej Europy, a który wskutek rozmaitych odmiennej natury przejść i polityki korony właśnie u nas nie wzrósł do tak monstrualnych rozmiarów, jak na Zachodzie. Wyłącznie przez koronę zagarnięte prawo łowieckie, zastrzeżone wyraźnie prawem leśnem Mieczysława III. w r. 1196, zaciemnia się wkrótce coraz to nowymi przywilejami i uprawnieniami innych tak, że nie można już później wyrobić sobie jasnego pojęcia, jak daleko sięgały prawa łowieckie obdarzanych własnością ziemską w pewnych wypadkach. Z drugiej zaś strony pewne nadzwyczajne prawa i przywileje, udzielane pojedyńczym osobom lub korporacyom, musiały łączyć w sobie i wszelkie prawa łowieckie i stawały się podstawą do powolnego wytwarzania się łowiectwa prywatnego, rozporządzającego potężnymi środkami. Zmiennymi kierunkami polityki Piastowie, lawirując naprzemian wśród trudnych stosunków, pragną wytworzyć sobie potężne plecy w rycerstwie, to znów zjednać mir dostojników duchownych. To w tym, to w innym kierunku jednali sobie przyjaźń według przysłowia „chartem lub jastrzębiem“ i sypali bądź daleko sięgające przywileje, bądź patrzyli przez palce na praktykę i prawem i przywilejem nie usprawiedliwioną.

Słynne były psiarnie książąt mazowieckich, a szczególnie Bolesława (1240 r.), niemniej króla Bolesława Krzywoustego, o którego psiarniach i łowach na żubry w puszczach nadodrzańskich podczas zdobywania Szczecina wspominają kronikarze, Przemysława itd. Jeszcze podziśdzień mgliste tradycye mówią o ogromnych psiarniach książęcych w Łowiczu, Niepołomicach, w Pieskowej Skale, Miechowie, Płocku i t. d. Ale coraz to więcej mnożyły się także łowiectwa prywatnych, a za czasów Bolesława Wstydliwego najwyżsi dostojnicy kościoła, biskupi poznański i gnieźnieński, otrzymali przywilej trzymania własnego myśliwstwa i psiarni. (Hist. pol. Naruszewicz IV. str. 245).

Niema na to bezpośrednich dowodów, czyli w łowiectwie ówczesnem używanym był chart do łowów. Że pies ten znanym był od dawna w Europie, a osobliwie u Niemców, że nie potrzebował być przez nas sprowadzanym z dalekiego Wschodu, jak to mniemają niektórzy, o tem już się rozwodzić nie potrzebuję; że zaś był używanym, osobliwie w późniejszych już czasach piastowskich, to pozostanie domysłem, ale domysł ten polega na pewnych danych tej epoki. W czasach Kazimierzowskich nie brakło dostatecznych obszarów dla charciej gonitwy. Prawa leśne z czasów Kazimierza Wielkiego — ten pierwszy nasz pomnik na polu leśnej judykatury, gdyż podobnie zwane prawa Mieczysława III. odnosiły się jedynie do łowieckich stosunków — wspominają o miejscowościach *ubi paucae sunt silvae*, a surowe kary na szkodników leśnych każą się domyślać, iż tylko raptowne ubywanie lasów zmusiło prawodawcę do takich rygorów.

Nie o wiele później, bo z czasów Jagiełły, pochodzą prawa i rygory na niszczących zasiewy w polach psią gonitwą za zwierzem. Niezawodnie zatem łowy takie w polach za zającem — o czem również wyraźnie mówi prawo: *cum autem lepores venantes solent pauperibus hominibus non modica inferre nocumenta* — były tylko przy pomocy charta możliwe, i że łowy te od dawna były znane i praktykowane.

Błędnem jednak byłoby mniemanie, jakoby dla charta, wyłącznie tylko na polistych pasmach kraju i w stepach przeznaczoną była rola w łowiectwie historycznem. Specyalność tego psa musiała wyzyskać starodawna sztuka łowiecka i w kniei, a gdy temu drzewa zawadzały, no, to trzeba było drzewo uprzątnąć i stworzyć teren dla charta sposobny. Zgraja brytanów i ogarów, mężne serce a kawał ostrego żelaza w ręku, starczyły w łowach na grubego zwierza, ale zwierz drobniejszy wymagał innych sposobów, a wśród niewielkiej rozmaitości środków, jakimi rozporządzało ówczesne łowiectwo, pies takich przymiotów, chwytający zwierza płochego na krótką metę, nie mógł pozostać obojętnym.

Ślady urządzeń dla łowów z chartami w kniei oglądać jeszcze było można niedawno w niektórych lasach np. w Janowcu w wojew. Sandomierskiem nad Wisłą, w dziedzictwie Firlejów, Tarłów, Lubomirskich a wreszcie Piaskowskich. Czy coś podobnego istniało już w czasach Piastowskich, nie wiedzieć, bo czas zatrzeć mógł wszelkie ślady. Polowanie takie zasadzało się na wyparciu zwierza obławą z lasów na wytrzebione miejsca, które obstawiano sieciami t. zw. parkanami i na szczuciu ich tu chartami.

Niezawodnie, że już w czasach sejmu 1347 r. rzekome wyłączne prawa korony do łowiectwa były już bardzo nadwątlone nieustającemi innemi prawami zwyczajnemi, których coraz więcej zdobywało w najdalszych granicach potężniejące możnowładztwo. Od czasu wieców chęcińskich Łokietka (1331), gdzie polityka zmusiła króla do przypuszczenia stanu rycerskiego po raz pierwszy do obrad, ustępstwa za ustępstwami sypały się, i zwolna wytwarzało się wspaniałe myśliwstwo u klasy możnej. Stan taki, jaki niedługo potem spotykamy za Ludwika węgierskiego, nie mógł powstać nagle, przygotowywał się zwolna i doprowadził do zupełnej w łowiectwie samowoli, gdyż znów ze względów dynastycznych, król, chcąc pozyskać serca rycerstwa, na sejmie koszyckim (1377) zniżył daniny gruntowe, a co najmniej dbał o tak skrupulatnie ongi bronione łowieckie prawa korony. Odtąd monarchowie musieli panów prosić o pieniądze, a to do reszty ubezwładniło królewską władzę. *De jure* pozostało na długo jeszcze łowiectwo prawem korony, *de facto* jednak działo się inaczej.

Przed Kazimierzem praw spisanych i powszechnie obowiązujących nie było, a chaos jaki wytwarzał już sam polityczny stan rzeczy, potęgowały jeszcze bezustanne podziały kraju, rozmaicie tłumaczone przywileje, a wreszcie rozciąganie opieki praw obcych, niemieckich, nietylko dla miast ale także dla ziemian. Że takie różnorodne prawa w jednem państwie nie mogły się przyczynić do dobrego, jest łatwem do pojęcia. Ziemianin, pozyskawszy prawo niemieckie, zagarniał dla siebie wszelkie prawa korony, uchylał się od wszelkich powinności i urastał wreszcie na udzielnego władcę.

Jak w wielu rzeczach, dotyczących naszego psa historycznego z tej epoki tylko pośrednio coś wywnioskować można, tak samo ma się rzecz z pozorną drobnostką: czy już wówczas nadawano nazwy psom łowieckim? W obec ogromnej ilości psów, jakie do łowów były używane, nie mógł każdy pies mieć nazwy, bo wreszcieby na to konceptu zabrakło, ale nazwy musiały się odnosić do pewnych gniazd lub miejscowości, z których psy pochodziły, a chyba tylko wyjątkowe egzemplarze posiadały nazwy osobnicze. Tak było w świecie starożytnym, tak u naszych sąsiadów. Jeżeli mityczny pies Homera miał nazwę, jeżeli Plutarch wychwalał Melaphyta, skoro nazwę Phileroxa ryto na greckich pomnikach, a Soterowi, obrońcy Koryntu, zamiast obywatelstwa honorowego podarowano srebrną obrożę sumptem państwowym — skoro Owid rozmaite nazwy psów legawych przytacza, gdy z czasów Karolingów dochowały się nazwy jakiejś sławnej pary piesków „Faxa“ i „Zoby“, a ciemny bard Szkotów opiewał czyny psów Sualha i Brana — to dlaczegożby psy nasze miały stanowić wyjątek i być bez nazw?

* *

W XV. wieku nie zmieniły się środki i warunki w wykonywaniu łowiectwa, a pies łowiecki jako główny czynnik łowów wysoko był ceniony. Wszelkie wzmianki, przepisy i rygory tych czasów traktujące o łowiectwie odnoszą się głównie do psów łowieckich. Łowy, przeszedłszy prawem zwyczajowem i ustępstwami Ludwika w posiadanie ogółu ziemiaństwa i wykonywane przez prywatnych zupełnie dowolnie przy pomocy ogromnych złaji psów przez rok cały, stają się praktyką wielce szkodliwą dla kultury rolnej, a to zmusza znów Jagiełłę, bez względu na jakiekolwiek prawa łowieckie, i tylko z uwagi na spustoszenia, jakie wyrządzają psiarnie i orszaki myśliwych, do ograniczenia czasu łowów nibyto zajęczych (1420) na czas od ukończenia zbiorów do św. Wojciecha pod karą 3 grzywien czyli 9 dukatów. Emulacya myśliwska i zachłanność na posiadanie dobrych psów łowieckich, upowszechnić musiały praktykę wykradania sobie nawzajem nietylko psów ale i zwierzyny, bo wnet pojawiają się ostre na te przestępstwa rygory *(fera alta et canes ne vi capiantur)*. Przedewszystkiem wyznacza prawo bardzo wysoką karę za kradzież psa myśliwskiego, tj. 6 grzywien czyli 18 dukatów, podczas gdy głowa chłopska nieco więcej, bo aż 10 grzywien czyli 30 dukatów kosztowała, jak to widać z rygorów prawnych Jagiełły na podpalaczy lasów. Kara ta, niby to bardzo wysoka w porównaniu do ówczesnej wartości i ceny innych przedmiotów, była jeszcze bardzo małą w porównaniu do kar, jakie istniały za kradzież lub zabicie psa w krajach innych. O niektórych zagranicznych postanowieniach karnych wspominałem już, a tu dodam jeszcze, że w XIV. wieku w Szkocyi zabójca psa miał za karę 101 dni strzedz i dozorować gumna właściciela psa zabitego.

„My nie znamy zabytków podobnych praw“ — powiada Czacki, (*O litewskich i polskich prawach, wyd. z r. 1861. Tom II., str. 275*) — „lecz w przywiązaniu do psów, wylęgała się zapewne mniej obyczajna naddziadów o ich zachowanie troskliwość. Wreszcie jeszcze gmin z podania ojców okazuje te mogiły, w których zapaśnicy o zabójstwo psa wznoszą swojemi kośćmi powierzchnię ziemi“. Gdzie chodziło psa, o zwierzynę, o łowieckie prawa, tam zapalały się odrazu i najspokojniejsze umysły, a cóż dopiero mówić o porywczej i ognistej naturze Sarmaty? To też kwestye te były od wieków bardzo delikatną stroną, jakiemś *noli me tangere* prawodawstwa i jeszcze podobno długo takiemi pozostaną.

Rozrost terytoryalny Rzeczypospolitej, nabytek ziem ruskich, unia Horodelska (1413) obdarzająca Litwinów prawami szlachectwa polskiego, nadania, zatwierdzenia i uszlachcenia na wielkiem paśmie ziem ruskich, powiększyły niesłychanie teren charakterystycznie kształtującego się łowiectwa. Przyczyniły sie też one do urozmaicenia, poprawy i krzyżo-

wania rozmaitych ras psów, częstokroć z krajów bardzo dalekich, jakie złączone teraz w Rzeczpospolitą narody od dawna posiadały. Pies polski, zostający długo pod wpływem kultury Zachodu, zetknął się teraz z psem dalekiego Wschodu, z psem łowieckiej Litwy, której wpływ sięgał głęboko w kraje rosyjskie, z psem Rusi izolowanej od Zachodu, a tem bardziej stykającej się z Multanami i mongolskimi narodami Azyi.

Materyały takie, w obec powszechnego zamiłowania w psiarniach i hodowli psów łowieckich, mogły wytworzyć rasy i gniazda psów słynnych w całej Europie. Podczas gdy Ruś stepowa dostarczyła chartów niezrównanych, jakie się mogły wyrobić tylko na niezmierzonych stepach narodów koczowniczych, zamanifestował się znów wpływ psa litewskiego w odmiennym kierunku. Skarbem lesistej Litwy był pies gończy — po litewsku „kurts". Pies ten niezrównany rozpowszechnił się wnet po całym kraju, zwano go po polsku „kurczem", a płody z krzyżowania po kurtsach „pokurczami". I utrzymała się ta nazwa aż do naszych czasów, jakkolwiek zatarło się jej pierwotne znaczenie.

Następcy wielkiego króla, a niemniejszego myśliwego „w baranim kożuchu". korzystali z każdej sposobności, aby złożyć na chwilę ciężką koronę i utonąć na czas jakiś w otoczeniu miłego orszaku i niezliczonych psiarń w rodzinnych kniejach Litwy. A przykład taki z góry potęgował tylko ogólną pasyę i wytwarzał coraz to wspanialsze łowiectwo, zasadzające się na utrzymywaniu jak najlepszych i w przesadnej ilości psów i przyborów łowieckich. Do cech ówczesnej zamożności ziemianina czy też do znaczenia urzędu należało i zbytkowe utrzymywanie psiarń, a zbytek ten w XV. i XVI. wieku do niemałych musiał dojść rozmiarów, skoro w r. 1552 za Zygmunta Augusta nałożono podatek tymczasowy od zbytków w łowiectwie, a mianowicie od głowy utrzymywanych strzelców, który w r. 1564 w stałą opłatę zamieniono. *(Vol. legum f. 601).* C. d. n.

KSZYKI.

Monotonne, smętne ćwierkanie siwej poświerki, drganie dolnych warstw powietrza, przesyconego parą wodną, a zresztą senna głusza, w której cała natura zdaje się przeciągać i drzemać pod wpływem palących promieni słońca lipcowego — oto pełny akord wrażeń, których doznawałem, włócząc się w samo południe po błotach ze strzelbą na ramieniu i Bekasem przy nodze.

Kszyki, odurzone upałem, dosiadywały twardo, bez trudu też spuszczałem je drobnym śrutem pomimo zygzakowatych linii w locie, któremi usiłowały ratować się od śmierci. Bekas aportował, kszyk zawisał na troku i tak szliśmy dalej, a raczej skakaliśmy z kępki na kępkę, zapuszczając się w coraz odludniejszy moczar.

Pejzaż był smutny, ponury, z zakazanych zakątków Wołynia, gdzie małe pagórki ornego pola i czarne linie lasów przegradzał długi, niezgłębiony moczar. Miejscami połyskiwała tu rdzawo stojąca woda z pomiędzy szarozielonych sitników, miejscami ścielił się szmat ostrych traw i mchów o żywszej zieloności, a wpośród nich ozdobna „wełnianka", ta nasza bawełna północna o białych, puszystych kutasikach, lecz przeważna część błót to brunatne, prawie niczem nie okryte torfy, w bardziej podmokłych miejscach zamienione w gęstą czekoladę, z której wysterczały pniaki i korzenie olch, odnawiających się krzaczysto, lub szare, chude kępki błotnej łoziny.

Nieopodal rysowała się długa linia grobli, ciągnącej się przez błota między jednym lasem a drugim, ułożonej z koszlawych okrąglaków, które w dzikim nieładzie jak nieczesana czupryna sterczały po bokach grobli. Od czasu do czasu wlokła się tam podskakując fura, lub szedł drwal z kaletą przez ramię i siekierą za pasem — a zresztą pustka odludna, jakby zapomniana przez Boga i ludzi.

Strzelając ciągle z rozmaitym skutkiem, zbliżałem się ku grobli. Kępki stawały się coraz rzadsze, przeskakiwanie z jednej na drugą coraz uciężliwsze. Wszedłem wreszcie na rodzaj miękkiego, smyrneńskiego dywanu, utkanego z najrozmaitszych mchów i roślin wodnych. Grzęzła tu nieco stopa, dywan cały trząsł się jak na sprężynach, lecz dawał przecież jakie takie oparcie i dozwalał posuwać się z ostrożnością ku najbliższej stalszej kępce. Bekas postępował z nieufnością po tym ruchomym kobiercu, a ja, wziąwszy przed siebie strzelbę jak drążek balansierowy, posuwałem się dalej zdążając ku grobli, skąd można było wygodniej dostać się do domu. Jeszcze ze 20 kroków dzieliło mnie może od grobli, gdy kobierzec trząść się począł coraz bardziej i wreszcie pękł mi pod stopami.

Jakgdyby podcięty wpadłem po pas do błota. Ptactwo uwieszone na trokach i torba myśliwska podniosły się do góry i wstrzymały dalsze zapadanie, ręce ze strzelbą wyciągnąłem przed siebie i oparłszy je na nieprzerwanej jeszcze powłoce kobiercowej, wzmocniłem mą pozycyę człowieka, wiszącego w błocie. Bo w istocie wisiałem w tej bezdni torfowej. Próbując lekko nogami, przekonałem się, że nie mam pod sobą stałej podstawy. Owszem, wszystko w dole było znacznie rzadszem od tego kożucha, który mnie na wierzchu trzęsawiska otaczał. Nieprzyjemnie dotknęła mię także nagła zmiana temperatury. Pod ciepłym, niemal rozpalonym od słońca kożuchem, były jakieś zimny nurty, do których się stopy moje dostały. Dreszcz przebiegł mnie po całem ciele. Zdawało mi się, że jakaś zimna, koścista śmierć ciągnie mnie na dno trzęsawiska, gotując najokropniejszy koniec memu młodemu życiu..

Straszne było to pierwsze wrażenie. Po chwili wróciła zimna krew i myśl o ratunku. Oczywiście trzeba było szukać jakiegoś stałego punktu zaczepienia, lecz jakiego? W pobliżu nie było nigdzie żadnego krzaczka, żadnej stałej kępki. Szukałem więc ostrożnie nogami, poruszając niemi naprzód i w tył, czy nie znajdę jakiego korzenia — lecz wnet zauważyłem, że badania te pogorszają moje położenie. Otwór, wybity w kobiercu splątanych roślin, robił się przezto większym, występowała na wierzch rdzawo-czarna woda, jakgdyby posoka jakiegoś potworu, który mnie pochłaniał i czułem, że z każdym ruchem nóg zapadam się o kilka milimetrów głębiej...

Położenie stawało się rozpaczliwe... Nierobić nic — oto jedyny środek, którego mogłem użyć. Przydłużał on przynajmniej to wiszenie w błotnych czeluściach, czynił jak najpowolniejszem fatalne pogrążanie, które w myśl nieubłaganego prawa ciążenia musiało coraz bardziej postępować. Jeszcze godzina, dwie, cztery — bo ja wiem? — lecz wyobraźnia malowała mi już ten straszny obraz, gdy cuchnąca masa torfu dostanie się do mych ust i nozdrzy, gdy już na niczem nie będzie się mogła oprzeć konwulsyjnie wyciągnięta ręka, aby godzinę okropnej śmierci powstrzymać...

Biedny mój Bekas nie wiedział, co począć; przysuwał się do mnie, skomlał, pokładał się, lizał czoło operlone zimnym potem, to znowu zrywał się, biegł ku grobli i poszczekiwał z dziwną trwogą, jakgdyby nieba i ziemię wzywając na ratunek.

Lecz troskliwość ta Bekasa pogorszała tylko moje położenie, gdyż pod ciężarem jego osłabiała się jeszcze bardziej spoistość dywanu traw, która w tej chwili opóźniała ostatnią moją godzinę.

Błoto doszło mi już pod pachy. Wytężone, zdrętwiałe ręce ściskały kurczowo dubeltówkę, walcząc z otchłanią. Krew napływała mi do głowy, uczułem szum w uszach, wpadałem w stan, graniczący z nieprzytomnością...

Wtem odezwał się turkot na okrąglakach grobli. Bekas poskoczył, wydrapał się heroicznie na wierzch grobli i począł szczekać przeraźliwie. Z lasu wychylił się próżny wóz drabiniasty, zaprzężony jednym konikiem. Na przodzie wozu siedziała młoda, wiejska dziewczyna z batem w ręku. W mej zamglonej już wyobraźni wydała mi się jakimś obrazkiem, jakąś istotą niecielesną. Jak ciemny odlew bronzu połyskiwały w słońcu jej włosy brunatne i bujna kosa o jaskrawej wstążce ponsowej, marszczona u szyi i bogato na ramionach wyszywana koszula opinała się na jej gorsie jak draperya twardego marmuru, smukłą kibić przepasywała jaskrawa krajka, podtrzymująca spodnicę w czerwone kwiaty. Stała tak oparta o półdrabek. Słońce śmiało się do niej, oblewając ją pełnią swych promieni, i ona śmiała się do słońca ogorzałą twarzą, błyszczącemi ciemnemi oczyma i szeregiem białych zębów. Lekki wietrzyk igrał z końcami jej pojasa i z fałdami spodniczki, z pod której wychylała się para małych, śniadych nóg.

Mówią, że w chwilach śmiertelnego niebezpieczeństwa wszystkie wrażenia z niesłychaną szybkością i siłą wrażają się w mózg, pozostawiając w nim pełny, wybitny obraz zjawiska. To też i zjawisko tej dziewczyny wiejskiej stoi dziś jeszcze, po wielu latach, tak żywo w mojej wyobraźni, jakgdybym ją wczoraj widział.

Zastanowiło ją szczekanie psa. Powstrzymała nieco bieg konia i rozglądała się uważnie po grobli i w około. Wtedy wydałem z siebie głos jakiś rozpaczliwy, wołający pomocy. Wstrząsnęła się na to wołanie, zatrzymała konia, a przyłożywszy rękę do czoła i chroniąc oczy od promieni słonecznych, spoglądała ku miejscu, w którem tonąłem. Jeszcze jeden krzyk, który z przyduszonych piersi wydobyłem, dał jej widocznie poznać grozę położenia, gdyż zeskoczyła z wozu i z praktycznością dziecka natury, które nie rozumowaniem lecz instynktem szuka i szybko wynajduje środki ratunku, zabrała się do roboty. Wydobyła deskę z wozu i małemi swemi rękami przyciągnęła ją na brzeg grobli naprzeciw miejsca, w którem ugrzązłem. Trzeba było niesłychanej siły, aby deskę na zdradliwym kobiercu położyć; uczyniła to jednak, korzystając roztropnie z najbliższej kępki. Lecz położona deska zajęła tylko połowę drogi ku mnie, poskoczyła więc po drugą deskę do wozu, ale poprzód spojrzała na mnie, rozchyliła piękne usta do uśmiechu i rzekła serdecznie:

— Nie bójcie się paniczu!

Wkrótce leżała już i druga deska, a dziewczyna przeszła po nich ostrożnie bosemi nożętami i przechyliwszy się podała mi rękę. Chwyciłem ją gorączkowo. Ciepło i jakby nowe życie przebiegło po mych żyłach. Patrząc w dziewczynę jak w cudowny obraz, sunąłem się naprzód, ona zaś cofała się wstecz, aby utrzymać równowagę na desce. Przysunąwszy się do deski puściłem jej rękę i wygramoliłem się ostrożnie na wierzch. Odetchnąłem głęboko. Nie byłem jeszcze uratowany. Pod deską ochronną mogła się jeszcze otworzyć przepaść i pochłonąć nas oboje — ale już mi się świat uśmiechał, wracało ciepło i humor. Cofając się ostrożnie ku grobli, przebyliśmy szczęśliwie pierwszą deskę i ściągnęliśmy ją zaraz, tak samo stało się z drugą deską — i wkrótce, wyskoczywszy na groblę, zaglądnęliśmy sobie w oczy.

Dziewczyna zachichotała całym szeregiem białych zębów, śmiała się, że „panicz“ tak osmarowany jak „didko“, co się nocami po trzęsawiskach włóczy.

— Uratowałaś mi życie dziewczyno! — rzekłem.

— Ou-wa! dajcie lepiej te deski na wóz, paniczu! — zawołała, jakgdyby nie rozumiejąc słów moich.

Ułożyliśmy deski na spodzie wozu, poczem ona skoczyła na wóz, ujęła postronki lejcowe w rękę i chciała dalej popędzić.

— Poczekaj! — zawołałem — wyciągnęłaś mnie sobie z błota, to mnie masz.

Rzekłszy to wskoczyłem na wóz i oparłem się o drugi półdrabek. Ona się zaśmiała.

Koń ruszył. Jak po maglownicy zaczęliśmy się kołysać i podskakiwać. Przed nami czernił się las, słońce przypiekało mocno, ze mnie dymiło się jak ze samowara, czułem w sobie jakąś błogość odradzającego się człowieka, a błotnisty torf wysechał na mnie i tworzył skorupę, istny pancerę rycerza, który się puszcza na romantyczne przygody.

— Gdzie ty jedziesz? — zapytałem.

— Po siano.

— Daleko?

— Ot, tu, w lesie.

— Ja twój, to ja ci pomogę.

Znowu się zaśmiała srebrnym, młodym śmiechem, ale ją to ani dziwiło ani trwożyło, że się do niej przyczepiam.

— A skądże ty? — zapytałem znowu.

— A z lasu — rzekła, wskazując biczyskiem poza siebie.

— Masz ojca, matkę?

Zasępiła się na chwilę.

— Siedzę przy dziadku — rzekła smutno.

Rozmowa nasza urwała się i stanęliśmy w lesie na małej łączce, gdzie pięć małych kopiczek siana czekało na swego właściciela.

— Jakże będzie z robotą paniczu? — zapytała z wyzywającym uśmiechem. — Mamy tylko jedne widły i jedne grabie.

— Zacznij ty — odparłem — ja się przypatrzę i nauczę.

I umywszy zasmarowane ręce w płynącej obok strużce, przysiadłem się na najbliższej kopicy. Z okrzykiem tryumfu wyszukałem w piersiowej kieszeni niezamoknięte papierosy i zapałki, a zaciągnąwszy się wonnym dymem, patrzyłem z lubością na pracującą dziewczynę.

Był to obrazek godny najwytworniejszego pędzla. Z energią i wdziękiem niezrównanym uderzało dziewczę widłami

w kopicę wonnego, leśnego siana i rzucało je na wóz szybkimi i zgrabnymi ruchami. Chwiała się przytem miękko z gibkością młodego ciała, jagody jej rumieniały, włos się rozwiewał i gdy ręce całkiem do góry podniosła, rozchylało się niedyskretne giezłeczko i ukazywało pierś falującą.

Cała moja straszna przygoda, rychła śmierć, zimne dreszcze podwodne — wszystko to znikło z mej pamięci. Patrzyłem na dziewczynę i żyłem jej życiem, jej ciepłem, jej młodością. Wreszcie odrzuciłem przygasły papieros, chwyciłem ją w pół i rzekłem głosem namiętnym:

— Teraz na mnie kolej.

Odwróciła się do mnie twarzą w twarz, spojrzała mi spokojnie a głęboko w oczy, odchyliła lewą ręką zwolna lecz silnie opasujące ją ramię i wreszcie z zalotnym uśmiechem podała mi widły do rąk.

Westchnąłem, chwilę stałem bezradny, a potem z dziwną jakąś zaciętością rzuciłem się na rozpoczętą kopicę. Wtedy ona siadła na mojem dawnem miejscu i z pustym śmiechem śledziła moją niezgrabną robotę.

Bułanek tymczasem przegryzał świeże, wonne sianko, od czasu do czasu zwracał się ku dziewczynie i rżał z cicha.

* * *

Tak zawarliśmy znajomość.

Lato sprzyjało bardzo kszykom, na św. Annę nasypało się dubeltów bez końca — chociaż więc błota śmiercią groziły, nie schodziłem z nich prawie i codzień rozlegały się salwy mych strzałów. Inieraz, bywało, na brzegu lasu ukazała się postać mej rusałki, przysłaniała dłonią oczy od słońca, śledziła moje kroki, a gdym był bliżej, plasnęła nieraz w dłonie i pogroziła, jakgdyby zgorszona, że kuszę Opatrzność, rzucając się znowu między trzęsawiska.

Lecz we mnie ani cień obawy nie postał, bo cóż mi się mogło stać, gdy rusałka moja czuwała nademną? Najczęściej, ujrzawszy ją, przemykałem ku niej, siadałem z nią na brzegu lasu wśród macierzanek i wrzosów i słuchałem jej opowiadań o tajemnicach borów i trzęsawisk, o błędnych ognikach, o gniazdach ptasich, o zjawiskach na niebie i ziemi, które tylko ona widziała i rozumiała, przepowiadając deszcze i burze, wichry i rosy, mgły i skwary słoneczne.

Nieraz chciałem ją objąć ramionami i szeptać jej, że ją kocham — ale choć bywałem zuchwalcem w obec kobiet, brakło mi tu odwagi.

Nareszcie raz wziąłem na odwagę.

— Dlaczego nie chcesz mnie kochać dziewczyno? — rzekłem. — Wyciągnęłaś mnie za uszy z tamtego świata, jestem więc twój i tylko twój. Przylgnąłem do ciebie i oderwać się nie mogę — wiesz, żebym ci oddał wszystko, całą duszę — czego mnie nie chcesz?

Patrzyła na mnie długo, spokojnie, na poły z uśmiechem na poły tęsknie i nic nie odpowiadała. A gdym się do niej zbliżył i zaklęcia me namiętnie powtarzał i ręce wyciągnął — to uchylała te ręce łagodnie i mówiła jakimś anielskim ale stanowczym głosem, jakby matka do dziecka:

— Na co te słowa? Wy inny świat, paniczu ja inny. My jak te gwiazdy na niebie: patrzą na siebie, świecą i mrugają, ale się nie zejdą...

— Więc mi każesz dziewczyno, abym znowu poszedł na te trzęsawiska i tam się utopił?

— Iii! — odpowiedziała, wydymając lekko usta, jak gdyby z ironią i wzgardą i dodała: — Czy wy nie macie co lepszego robić na świecie? Wy tam macie we dworach pawie, kanarki i inne zagraniczne ptycie. No, każcie sojce leśnej, żeby się polubiła z pawiem lub kanarkiem. Co Hospod Boh rozdzielił, to niech po swojemu będzie.

A mówiąc to, pozwoliła mi rękę swą trzymać w mych gorących dłoniach i patrzyła się na mnie z ufnością dziecinną i taką serdecznością, żem oczy ze wstydu spuścił.

W lesie odezwało się charakterystyczne hukanie.

— Did', did' wże kłyczut do chati! — zawołała moja rusałka, skoczyła na równe nogi i znikła w gąszczach.

A ja siedziałem jeszcze na kraju lasu, aż doczekałem się księżyca i to zżymałem się na siebie samego, to zapuszczałem się w analizę naszego stosunku i zapytywałem: Czy lud sielski i my to doprawdy dwa różne narody, dalekie od siebie wyobrażeniami, uczuciem, myślą — czy doprawdy tak dalekie?

Lecz najmądrzejsze rozważania nie zdołały mi z czoła spędzić jakiejś chmury, a z serca jakiejś nudy, z któremi błąkałem się po błotach.

Nie było już kszyków ani dubeltów, a ja ciągle krążyłem pod lasem mojej rusałki, lecz od owej rozmowy nigdy jej już na skraju lasu nie dojrzałem.

Niepokój zaczął mną owładać. Puściłem się w las aż do chaty leśnego, dziada mej rusałki. Zastałem go przed chatą i pozdrowiłem. Spojrzał na mnie z ukosa. Zapytałem, co się dzieje z dziewczyną. Odrzekł, że pojechała do stryjka na trzecią wieś i wszedł do chaty.

Nie dowiedziałem się nic więcej i już jej nie ujrzałem, a w sercu pozostała mi na długo czy pustka, czy blizna — nie wiem sam — ale coś, co w chwilach największej wesołości powstawało we mnie nagle i zalewało serce tęsknotą i żalem.

* * *

Lecz przecież jeszcze raz ją ujrzałem. Było to w trzy lata po mojej przygodzie na trzęsawisku. W sąsiedniem miasteczku wstąpiłem do lekarza, przyjaciela. Gdym ujął za klamkę do drzwi jego mieszkania, wyszedł z nich właśnie młody chłop a za nim kobieta z dzieckiem na ręku.

Była to ona. Zdawała się mnie nie poznawać, lecz zbladła nagle, a potem jakby zawstydzona spuściła oczy.

Powitałem ją wesoło i serdecznie. Poczerwieniała mocno i błyszczący wzrok we mnie utkwiła.

Pytałem, czy jest szczęśliwą? Przytaknęła głową i pochyliła się z pokłonem.

Rzuciłem okiem na jej męża: chłop nieokrzesany, bez inteligencyi w oczach i ruchach, jakiś wstrętny, może i głupowaty. Pożegnaliśmy się.

— Co ta kobieta u ciebie robiła? — zapytałem doktora, wchodząc do pokoju.

— Radziła się o dziecko. Ono będzie zdrowe, lecz ona sama...

— Cóż jej takiego?

— Myśli że zdrowa, a ma w najwyższym stopniu rozwinięty błąd serca. Może rok, może dwa lata... A szkoda, taka piękna!

Zamilkłem. Od dawna nie myślę już o niej, lecz nie lubię polować na kszyki.

St.

Nasze futerka.

Gdyby natura wydawała tyle nowych futer, co ich wydaje sztuka białoskórnicza i kuśnierska, to byłaby wielką panią. Perłowe, niebieskie, różowe, liliowe, mienią się kolorami tęczy, jakich na żadnym zwierzu nie widać, to lśniące gładkie, to kędzierzawe, to puszyste jak mgła, zadziwiają i budzą mimowoli ciekawość zoologa. Lecz źle niestety, jeśli on zacznie rzecz do gruntu badać — bo się pokazuje, że te egzotyczne futerka to najczęściej sztucznie poprzekształcane... psy i koty.

Nowoczesny kuśnierz robiłby bardzo złe interesa, gdyby chciał przed odbiorcą wyjawić tajemnicę, z jak małej ilości gatunków zwierząt wszystkie jego wspaniałe futra pochodzą. Lecz trudno! Świat chce być oszukiwanym, więc go oszukują.

Teraźniejszy handel futrzany ma w ogóle inną cechę, niż w dawniejszych czasach, zależy on znacznie mniej od potrzeby niż od mody. Ona jest tą panią, która na wschód i na zachód od atlantyku handlem futer komenderuje, a pod tą komendą cierpi najwięcej... kocia skóra.

Już w pierwszym lat dziesiątku naszego stulecia eksportowano z Rosyi do Chin futerka kotów i sprzedawano je tam za dobre pieniądze. W drugim dziesiątku lat tego wieku zajął się niemi francuski konzul w Tyflisie i wprowadził je do Paryża. Nowe, nieznane z pochodzenia futerko, stało się modne i jak każda zaraza mody powędrowało wnet z zachodu na wschód przez całą Europę. I to był pierwszy potop kocich futer. Przed dwudziestu laty nastąpił jeszcze większy drugi potop, gdyż ten dostał się aż do Ameryki. Same Niemcy, wedle obliczeń Lomera, wysłały w r. 1870 przeszło 400.000 kotów do Ameryki. Szczególniej pięknych gatunków skórek dostarczali chłopi z Czarnego lasu, gdzie chodowano jednolicie czarne lub jednolicie popielate koty. Zabijali je porą zimową i sprzedając skórki licznym ajentom, mieli z tego piękny poboczny dochód.

W tej produkcyi kocich futerek nie ustępowała Niemcom Holandya, a w Belgii tak się chów kotów upowszechnił, iż każda kucharka i pokojówka, wstępując do służby, wyrabiała sobie pozwolenie trzymania kota, którego skórką poprawiała sobie służbowe dochody. A elegant i elegantka, paradując w pięknych kołnierzach futrzanych, ani się domyślali, że w tych skórach miauczały koty i wyprawiały na dachach koncerty.

Gdy się raz w handlu tym dobry okazał zarobek, starano się go jeszcze rozszerzyć, bo chęć zysku jest jak zawsze nienasycona. Wciągnięto więc w zakres delikatnych futerek skórki królików z Australii, gdzie je albo w skutek szkodliwości masami tępiono, albo zdzierano ze zwierząt, ginących epidemicznie na choroby zaraźliwe. Te zatem jako niesłychanie tani, wędrowały znów z Francyi przez cały świat pod nazwą kangurów, towarzysząc futrom kocim i rywalizując z niemi.

Paryski kuśnierz Grutier opowiadał, że raz przyszła do niego bogata Amerykanka z prośbą o naprawienie drogiego zarękawka z „morskiej wydry“, która nie była niczem innem, tylko prostym kotem. Za Atlantykiem zapłaciła 120 franków za skórkę, która między przyjaciółmi nie była więcej warta nad 6 i pół franka. Cóż miał robić Grutier? Wymieniał części zarękawka uszkodzone przez mole i kazał sobie za to tylko... 70 franków zapłacić.

Do perfekcyi w wyzyskaniu kocich futer doprowadziła dopiero Ameryka, jak we wszystkiem, gdzie trzeba kapitału, przedsiębiorczości i odwagi reklamowania. Utworzyło się tam towarzystwo, które postanowiło zająć się *en gros* produkcyą kotów. Yankesy wydzierżawili mianowicie całą wyspę, sprowadzają czarne koty z Holandyi, krzyżują je z rasą angorską, karmią ulubienem ich pożywieniem, rybami — i niebawem rozpocznie się zalew nowych, cudownych zamorskich skórek. Swojskie zwierzęta tępić, a zaprowadzać hodowlę nowych, obiecujących znaczne zyski — oto prąd spekulacyjny, który ogarnia Amerykę. Już teraz ugania się Yankes za ostatnimi bawołami, a wkrótce położy koniec i aligatorom, których skóra stała się poważnym artykułem handlu. Zaczynają je już hodować na brzegach rzek w parkach, a po ubiciu idzie skóra na ciżmy myśliwskie, teki, portmonetki, okładki do książek itd., podobnie jak skóra marokinowa, mięso zaś wędruje do basenów jako pożywienie dla kajmanów lub dla psów i kur.

Co do psów, to dostarczają one już oddawna skórek na futra, krótkowłose rasy zaś materyału na skóry garbowane, z których robią delikatne trzewiczki lub skórki zamszowe na rękawiczki. Włos ze skór garbowanych służył i służy do polstrowania, na wyrób pędzli itp.

Futerka psie, przekształcane najrozmaiciej, udają wybornie futra ze zwierząt zagranicznych a służą do wyrobu całych okryć futrzanych, kołnierzy, czapek, zarękawków itp. Na północy używają ich także na ciepłe worki do spania, rękawice futrzane i ciepłe szkarpetki. Nansen, w ciekawem swem sprawozdaniu z podróży na sleterach do Grenlandii, chwali przedewszystkiem worki ze skór reniferowych jako najcieplejsze, lecz puszczające włos w wilgoci, za wytrzymalsze pod tym względem uważa worki ze skór wilczych i psich.

Północna Azya, a szczególniej obszary, zamieszkałe przez Mandżurów i Mongolia wschodnia — to dopiero kraje, w których produkcya psów na futro i na mięso na wielką skalę się odbywa. Oprócz stad kóz, istnieją tam tysiące stad młodych psów, po 20 do kilkaset sztuk w jednem stadku, które zazwyczaj do 8-u miesięcy są hodowane. Stanowią one źródło dobrobytu dla Mandżura i nieraz zdarza się, że córka wychodząc za mąż, otrzymuje stado psów na wiano. I w żadnym innym kraju nie znajdzie futra psiego tak doborowego jak w tej części Azyi. Klimat ostry, którego ciepłota średnia w ciągu roku — 1·3° C. wynosi a nieraz na — 30° C. spada, powoduje niezwykłą gęstość włosa na psie; dorasta też włos ten do niezwykłej gdzieindziej długości. W ósmym miesiącu, w ciągu zimy, gdy futro jest najpiękniejsze, dusi Mandżur psy i skórki z nich złupione posyła do miasta Mukdan albo do Czinczan, gdzie je masami garbują, sortują, a częstokroć na używane w Chinach płaszcze i kobierce zszywają.

Niezmiernie dużo wywożą też owe kraje futerek z psów, których mięso, jak w ogóle w Mandżuryi i Chinach, jest pożywieniem ludności. Głównem miejscem wywozu dla tych skórek i gotowych już błamów i płaszczów futrzanych jest port Niu-czwang czyli Liao-ho w Mandżuryi. W roku 1887, który był znacznie gorszym od innych, wynosiła wartość wywozu 8 milionów marek. Podziwiać przytem należy niesłychaną taniość płaszczów z psich futer. Za płaszcz taki,

na który najmniej 8 skórek potrzeba, płaci się około 15 marek, cena jednej skórki zatem, odliczając coś na sortowanie i robotę, nie wypadnie wyżej nad 1·6 do 1·8 marki. Mając na oko wartość całego wywozu, a oraz i to co w kraju samym w formie futra zostaje zużytem, wypadnie przypuścić, że w Mandżuryi pada corocznie 6 milionów psów, aby dostarczyć mięsa i futra.

Włos psa jest wszakże nietylko na futra, ale także na materyał tkacki używanym. J. K. Lord mówi w swym opisie przyrody wysp Vancouver i angielskiej Kolumbii, że przebywające tam pokolenia Indyan hodowały szczególną rasę psów o długim białym włosie i strzygły je co roku jak owce. Włos ów, albo sam przez się, albo w połączeniu z włosem dzikich kóz, także z przędzą konopną, służył do wyrobu ciepłych tkanin. Łatwość nabywania innych tkanin, któremi ich później handel zaopatrywał, stał się powodem zatracenia tej hodowli. Próby z tkaniem włosa psiego, a mianowicie grifonów, czynił także właściciel sławnej psiarni w Evreux we Francyi, p. Boulet. W roku 1888, gdy prezydent Carnot zwiedzał w przejeździe ową psiarnię, ofiarował mu właściciel sztuczkę na kamizelkę, utkaną z psich włosów, a to w szkatułce z fotografią psa „Marco“, który włosa na tkaninę dostarczył.

Ciekawym jest jeszcze jeden szczegół, nie mający wprawdzie bezpośredniego związku z futrami, lecz odnoszący się do psów i mogący wpłynąć na ich gromadną hodowlę, coby ostatecznie i na wzmożenie się produkcyi futer wpłynęło. Już w dawnem lecznictwie, między cudownymi środkami aptekarskimi, figurował także jeden środek pod nazwą *Album grecum*, o którym nie każdy wiedział, jakie królestwo natury go wydaje. Były to podłużne grudy żółtawo-białe, kruche dające się łatwo zetrzeć na proszek. Wtajemniczeni tylko wiedzieli, że to są poprostu... odchody psa, złożone przeważnie z węglanu wapna. Jakim cierpieniom ludzkości miały one nieść ulgę — o tem zapomnieli już dzisiejsi lekarze, ale przypomnieli sobie o nich — bodaj, czy nie na nieszczęście psów — garbarze.

Stany Zjednoczone Ameryki północnej, a szczególniej Filadelfia i sąsiednie miejscowości, wyrabiają ogromną ilość safianu, do którego używane są skórki kozie. Roczne spotrzebowanie skórek do tej fabrykacyi liczą na niesłychaną ilość 50 milionów sztuk! Indye, Brazylia, Meksyk, Hiszpania, Rosya, nawet Niemcy dostarczają amerykańskim fabrykom surowego materyału. Otóż przy garbowaniu tych skór okazały się niezbędnymi odchody psa. Rozwinął się tedy ogromny handel tym brzydkim artykułem psiej proweniencyi. Nietylko więc w Filadelfii na wielką skalę, lecz także n. p. w Berlinie (na rogu Charlottenstrasse) istnieją kantory handlowe, trudniące się handlem tego psiego artykułu, w którym rozróżniają także rozmaite krajowe i zagraniczne sorty. Szczególniej Konstantynopol i Australia są potężnemi źródłami wywozowemi dla tego artykułu handlu; jakoż całymi ładunkami okrętowymi zwożą go dla garbarzy amerykańskich. A jeśli popyt obecny będzie się jeszcze wzmagał, to bardzo jest możliwem, że przemyślni Amerykanie lub Anglicy australscy potworzą konsorcya dla hodowli psich trzód, bo eksploatacya mięsa, futra, skóry i odchodów tego zwierzęcia może dać dobre dywidendy. *M.*

Polowania barona Hirscha.

Polowania spanoszonego bankiera, który znalazł miliony przy spekulacyach kolejowych i w grze giełdowej, nie mogą być przecież takie, jak polowania zamiłowanego łowcy, który żyłkę myśliwską z mlekiem matki wyssał, a żyje tradycyami rodowemi łowów, zamienianych niejednokrotnie na harc rycerski z wrogiem. Co tu jest wewnętrznym popędem krwi — tam wynika tylko z naśladownictwa wielkopańskiej mody; co tu jest męskiem łamaniem się z przyrodą, dzielnem ćwiczeniem energii, przytomności umysłu, odwagi — tam staje się tylko chęcią błyszczenia i zadziwienia milionami. Oto dwa światy całkiem do siebie niepodobne i — chwała Bogu, że niepodobne! Ale warto się i temu drugiemu światowi dla ciekawości przypatrzyć.

Głośną stała się już dziś w Europie posiadłość bar. Hirscha, St. Johann, w nizinie Morawskiej nad Morawą, w Węgrzech położona. Głośną stała się dlatego, bo przyjeżdżał tam polować książę Walii i najsławniejsi w myślistwie lordowie, dorzucając nieco splendoru do rozgłośnej już i tak sławy bar. Hirscha. Jest to obszar znaczny, bo mający przeszło 23.000 morgów, a oprócz tego dzierżawi baron prawo polowania w 17 pobliskich, węgierskich i morawskich gminach, tak, że cały areał myśliwski wynosi około 112.000 morgów! Z tego tylko 26.000 morgów przypada na lasy, resztę zajmują role, łąki, pastwiska, błotka i piaszczyste nieużytki. Jest zatem gdzie polować — a że jest na co, o to starają się miliony bar. Hirscha.

Pora polowań w St. Johann ograniczona jest do czterech, najwyżej sześciu tygodni i zaczyna się z końcem września lub w pierwszych dniach października. Główną zwierzyną tych polowań są kuropatwy, prócz tego zające; stan sarn jest bardzo zły, a pojawiające się tu i ówdzie przechodnie dziki pozostawia się leśnym, którzy też najwyżej 3 do 5 sztuk rocznie ubijają. Prócz tego hodowane są w znacznej jeszcze ilości króliki, tak, że ich corocznie 5 do 6 tysięcy pada i bażanty, z których rocznie ubija się około 2.000 kogutów, a drugie tyle kur i kogutów wyłapują żywcem na sprzedaż.

Aby dać obraz, w jaką nie do uwierzenia mnogość kuropatw obfituje St. Johann, powtórzymy tu ustęp z relacyi myśliwego, który osobiście stosunki te badał.

„Przyjechałem do Hohenau — brzmi wspomniana relacya — skąd powozem dostałem się do St. Johann na Węgrzech. Sam ten dojazd stał się już bardzo interesującym dla myśliwego, bo droga jest formalnie przez zwierzynę oblężona. Po przebyciu rzeki Morawy roi się od zwierzyny po remizach i gajach; po stokach gościńca siedzą gromadami bażanty, a gdy się pośród pól jedzie, to role wydają się jakgdyby żyjące, tak się przemykają po nich nie stadka lecz stada kuropatw. Liczą one po 80 do 100 sztuk, a reprezentują wszystkie możliwe odmiany tego ptaka. Mnóstwo polowych i dozorców polowania gromadzi się z powodu zapowiedzianego polowania. Wkrótce przybyłem do St. Johann,

małej mieściuki, z nowym okazałym zamkiem wśród prześlicznego parku i licznych budynków gospodarskich. W podwórzu zamkowem panuje ożywiony ruch. Goście pana barona, przeważnie lordowie angielscy, najznakomitsi na świecie strzelcy, powrócili właśnie z dóbr barona Hirscha, Eichhorn na Morawie, gdzie przez 40 dni polowali mają tu 45 dni zabawić.

„Pan baron Hirsch jest podsadkowatym, silnie zbudowanym, zdrowym człowiekiem; sam daje wszystkie, jak najszczegółowsze rozkazy do polowania. O godz. 11 zajeżdżają przepyszne węgierskie wózki myśliwskie i towarzystwo udaje się na miejsce łowów. Sądziłem, że na polowaniach Schwarzenbergów i Hartigów w Czechach można już widzieć coś najwyższego w zakresie polowań — tu jednakże byłem jeszcze bardziej zdumiony.

„Na miejscu przeznaczonem do polowania ustawiono ze ściętych sosen sztuczną, około 20 metrów szeroką aleję, której ściany tak gęsto pozatykane są gałęziami, że napędzone kuropatwy nie mogą się pomiędzy nie przecisnąć, lecz muszą wzlatać. W pośrodku alei ustawiono sześć trybunek, z których każda przeznaczona jest dla myśliwego i trzech ludzi do obsługi. W pobliskim gaju leżały już przygotowane strzelby i całe skrzynie nabojów. Strzela się ze strzelb cal. 12, nabojami o łuskach papierowych i białym prochem bezdymnym.

„W czasie polowania komenderuje sam baron Hirsch. Gdy już wybitniejsi panowie zajęli trybunki, wsiedli młodsi myśliwi i damy znowu na wózki myśliwskie i udali się ku nagonce, która pochód swój rozpoczęła. W środku pola ustawiony jest stożek, markujący cztery kierunki, z których cztery oddziały nagonki (po 80 ludzi w każdym oddziale) nadchodzą. Komenderowanie nagonkami odbywa się za pomocą sygnałów na trąbkach.

„Trudno sobie wyobrazić tę masę kuropatw, która się teraz zaczyna cisnąć; słychać ich tysiącami, stado za stadem tłumią się i roją po wszystkich kątach. Myśliwi idący z nagonką rozpoczynają strzelaninę, a że się bezustannie zmienia strzelby, więc kanonada trwa bez przerwy. Gdy zaś kuropatwy dotrą do alei i poczną się zrywać w górę ponad drzewa, wtedy dopiero huk strzałów się podwaja i trwa dopóty, dopóki szeregi nagonki, zbierającej ubite ptactwo, nie staną przed aleją. W pierwszym gonie zaraz padło przeszło 700 kuropatw, po trzykrotnem powtórzeniu gonu, co się w trzech godzinach stało, wynosiła zdobycz przeszło 2.000 sztuk. W pauzach, nim się nagonka na nowo uszykowała i zaszła, siedzieli goście przy dobrze zastawionych stołach w cieniu drzew“.

Tak opisuje tę oryginalną mordownię kuropatw naoczny świadek.

A teraz pytanie: Skąd się w St. Johann bierze tyle kuropatw? Odpowiedź łatwa: Nie wywodzą się na miejscu, mimo forsownej hodowli, lecz przybywają z różnych kątów ziemi na skrzydłach milionów barona Hirscha. Roczne przykupno żywych kuropatw wynosi 30 do 40 tysięcy, a na tę jesień miało nawet -- jak twierdzą — 120.000 sztuk być dostawionych! Z nadejściem jesieni przybywa codziennie wagon lub dwa wagony żywych kuropatw do Hohenau, a kojce z niemi rozwożone bywają natychmiast furami po folwarkach i remizach dóbr baronowskich. Ile to kosztuje, to już tajemnica barona Hirscha, ale że niemało, łatwo uwierzyć. Mnóstwo tych kuropatw wynosi się w dalsze okolice lub ginie zaraz po wysadzeniu w polu, mnóstwo ginie w siłkach, zastawianych przez kłusowników, te zatem, które pozostają, kosztują nie mało. Dodajmy do tego, że baron płacić musi kolosalne odszkodowania włościanom za zniszczenia na ich polach, bo chociaż szkody od kuropatw ustawa łowiecka nie przyznaje, to przy takim wyjątkowym, sztucznym zwierzostanie muszą być rzeczywiście dotkliwe szkody w polu i uchylenie się od odszkodowań jest niepodobne. Mają one być tak znaczne, że podobno i bar. Hirschowi jest ich już za wiele, więc — jak twierdzą — nosi się z zamiarem skasowania swych wspaniałych, bankierskich polowań.

W r. 1892, w ciągu sześciotygodniowej kampanii, ubito około 13.000 sztuk kuropatw. Dodajmy do tego 9—10.000 sztuk zajęcy, 4.000 bażantów i 6.000 leporydów — a przedstawi się okazała cyfra corocznej zdobyczy w zwierzynie, której oczywiście sami myśliwi i dwór barona zjeść nie potrafią. Idzie to zatem na sprzedaż na podstawie zawartych przedtem kontraktów, prawie wyłącznie do Paryża, w specyalnych wagonach na zwierzynę, które w porze polowań stoją zawsze do dyspozycyi barona.

Należy w końcu wspomnieć, że na rewirach myśliwskich w St. Johann zapadają też stale słonki, i w ciągu jesiennych polowań na kuropatwy i bażanty pada ich zawsze 30 do 50 sztuk.

Z CZARNOGÓRY I ALBANII.

Relacya myśliwska L. Führera.

Mało kto przeczuwa, na jakie trudności i przeszkody natrafia myśliwy i przyrodnik w romantycznych krainach Czarnogóry i Albanii. Pominąwszy już nie bardzo uprzejme zachowanie się ludności, która w każdym cudzoziemcu widzi tylko niewygodnego natręta albo wprost szpiega, oczekują cię w tych zresztą bardzo interesujących krainach niebezpieczeństwa, wypływające z tamtejszych stosunków klimatycznych.

Bywali już w Czarnogórze turyści różnych narodów, lecz udało się im co najdalej dotrzeć do Cetynii, Rieki, Podgoricy albo Niksiczu, a wielu pielgrzymowało tylko dla tego, aby potem w obec znajomych o swych urojonych awanturach blagować.

Na kontynencie europejskim trudno o idealniejsze pod względem fauny terytorya, jak Czarnogóra i Albania, a niejeden rok upłynie jeszcze, zanim wszystkie ich skarby natury zostaną dokładnie zbadane.

Znając dobrze język albański i przebrany za Albańczyka, bawiłem kilka tygodni w górach Prokletja, pnących się pod niebo szczytami do 3000 metrów wysokimi. Robiłem

tam studya i polowałem, narażając się na niejedno niebezpieczeństwo. Ba, niewiele nawet brakowało, ażebym na zawsze w jakiejś czeluśni górskiej pozostał, bo tamtejsze pokolenia góralskie, Klimenti, Nouti, Grudi i Kastrati strzelają do każdego obcego, uważając go za natręta, a nieraz tylko z prostego zuchwalstwa, jeśli im tylko prochu nie żal. Skoro zaś idzie o to, aby piękną strzelbę zdobyć, to nie żałuje Albańczyk nawet kilku nabojów swej zazwyczaj wybornie strzelającej broni systemu Martini, którą zowie „nuta“, w przeciwstawieniu do nazwy „kapaklias“, którą ochrzcił strzelby innych systemów.

Z powodu tropikalnych niemal upałów wysycha znaczna część Skodarskiego jeziora w letnich miesiącach. Panuje wtedy nad niem przepełnione miazmatami powietrze moczarowate, sprowadzające malaryę, której mało kto oprzeć się zdoła. Objawy tej groźnej choroby bywają do żółtej febry okolic podzwrotnikowych bardzo podobne. Nad morzem zaś grasuje corocznie tyfus.

Jezioro Skodarskie jest istnem eldoradem co do ptactwa błotnego i wodnego; na wiosnę i w jesieni to miejsce spoczynku gromad przelotnych, na zimę to zimowe leże dla wielu. O tej porze przypomina jezioro obrazy z nad ujścia rzeki La Plata.

Było to 6. września r. 1892, gdym drogą przez Kotar dostał się na wyżyny Krstaczu, którego stoki południowo-wschodnie stanowią granicę między Austro-Węgrami a Czarnogórą. Tu na południu wznosi się potężny Łowczen, okryty w znacznej części lasami i pełen stromych jarów, a dający przytułek wielu drapieżcom, szczególnie wilkom i lisom.

Do miejscowości Niegusz jechałem nowo wybudowanym gościńcem, dalej zaś starą drogą, która, przerzynając na przemian to leśne okolice to nagie wzgórza, wiedzie do Cetynii. Na 4 kilometry przed tą stolicą Czarnogóry zajechałem do tak zwanego Belwederu, skąd czarujący roztacza się widok. Jak daleko okiem sięgnąć wznoszą się malownicze skały, lesiste wzgórza, urocze doliny, zielone pastwiska a w głębi przepyszne jezioro Skodarskie z mglistą panoramą miasta tej samej nazwy.

Ku Rjece spada teren dość gwałtownie, a w miarę tego zmienia się także flora i fauna. W miejsce dębu i buka występuje jasion, a krzewy południa, laur i myrt, stają się pospolite. Na stokach tu i owdzie widzisz winnice, także figowe drzewa i granaty. Sikorki szczelinowe, żałobne, kawki alpejskie należą do zwyczajnych typów ptactwa.

Około godziny 1 popołudniu przybyłem do Rieki, miasta o budynkach charakteryzujących wszystkie miasta albańskie. I w istocie Rieka jest przeważnie przez kupców albańskich zamieszkałą. Rzeka tej samej nazwy, wypływająca o paręset kroków za miastem z groty stalaktytowej, będącej siedliskiem gołębi, wije się licznymi skrętami i nie ma tu nigdzie nagłych spadów. Brzegi jej są w części skaliste, w części moczarowate. Na wiosnę i pod jesień, u ujścia swego do Skodarskiego jeziora, przemienia się rzeka sama w duże jezioro, zalewając rozległe moczary.

O godzinie 3 opuściłem Rjekę, aby się udać do Podgoricy. Wiedzie do niej droga wybudowana dopiero w roku 1891 pomiędzy lesistymi pagórkami. Dąb i buk znowu się tu pojawiają. Na tej drodze zastrzeliłem kilka gołębi skalnych. Po całogodzinnem wypoczynku w Kokoto, gdzie się znowu przed okiem podróżnego prześliczna panorama rozwija, przebyłem ciągnące się długo Leszkowe pole i o północy dotarłem do mego celu — do Podgoricy.

Miasto Podgorica leży po obu brzegach rzeczki Rybnicy, wpadającej tu do rzeki Moraczy. Część leżąca na lewym brzegu ma nazwę Stary Warosz, część na prawym brzegu zowie się Nowy lub Mirkowy Warosz; w pierwszej są przeważnie stare tureckie domki „kulasy“, w nowej nowe zabudowania, prawie wszędzie ze sklepami. Ludność około czterotysięczną stanowią Turcy, Albańczycy katoliccy i Czarnogórcy, którzy w połowie są tu szynkarzami, „mehandżija“.

Przybywszy do Podgoricy stanąłem w hotelu „pod carewiczem“, którego gospodarzem był Czech. Dzień po przyjeździe poświęciłem wyłącznie spoczynkowi i dopiero dnia 8. września o godzinie 2 nad ranem wyruszyłem ze strzelbą na ramieniu i z moim psem Ballo ku jezioru Skodarskiemu.

Idąc wzdłuż Moraczy przez Żabliak, Bystrzycę, Goriczani i Kuriło dotarłem do rozległych błót. O godzinie 7 rano znalazłem się w lesie wierzbowym, który w czasie wylewów aż po korony drzew bywa zalewany. Zdobycz moją dotychczasową stanowiło kilka czapel i batalionów. Wyszukawszy więc miejsce stosowne do odpoczynku, skąd całe jezioro aż po brzegi albańskie można było przeglądnąć, zabrałem się do zdjęcia skórek z mych ptaków.

Dzień zapowiadał się być skwarnym. Już o godzinie 8 pokazywał mój termometr 19° C. w cieniu. Tem bardziej spieszyłem się z robotą, aby uprzedzić następujący szybko rozkład ubitych ptaków.

Jezioro przedstawia się stąd wspaniale. Tysiące kaczek rozmaitego gatunku uwijało się tu wśród hałaśliwego kwakania po czystej, oblanej światłem wód powierzchni. Gałęzie suchych wierzb, wychylających się z wody, obsiadły małe kormorany, mnóstwo czapel uganiało się za rybkami, a kilka pelikanów, jakby w poczuciu swej godności, pływało poważnie, podczas gdy kilkaset ich towarzyszy, zająwszy piaskowe wypłuczysko, grzało się do słońca w rozmaitych najpocieszniejszych pozycyach. Ponieważ gąszcz wierzbowa zasłaniała mnie należycie, mogłem najspokojniej nasycać się tym widokiem, a niektóre pelikany podchodziły ku mnie na kilka kroków.

Mam dosyć mocne nerwy, a przecież rozbierała mnie gorączka myśliwska na ten widok — byłem jakby haszyszem odurzony. Podobnego uczucia doznawał i mój „Ballo“, szlachetny albańczyk, który, chociaż z gończym krzyżowany, miał przecież wiele temperamentu dla ptactwa i wybornie je z wody aportował. Widok tylu ptaków zmienił całą jego istotę w drżący liść osiczyny — aż wreszcie nie mogliśmy obaj wytrzymać. Chwyciłem sztuciec kulą nabity i wziąłem na cel jednego z najbliższych pelikanów. Padł strzał, rozlegając się tysiącznem echem w załomach gór, „Ballo“ skoczył do wody — a wtem zrobiło się ciemno... Cała chmura ptactwa podniosła się w górę, ażeby o parę kilometrów dalej, już przy brzegu albańskim zapaść znowu na wodę. Tylko pelikany wiosłowały dalej poważnie, choć w przyspieszonem tempie i były wkrótce poza donośnością strzałów. Pozostał tylko jeden ze złamanem skrzydłem.

„Ballo“, który w odwadze nie ustępował ludziom swej ojczyzny, byłby go niewątpliwie dopadł i zaatakował, gdyby nie gęsto splątane rośliny wodne, które go w pływaniu hamowały i pościg czyniły niemożliwym. Odwołałem tedy psa, a siadłszy do czółna, stojącego przy brzegu o jakich 200 kroków, puściłem się za odpływającym postrzałkiem. Jazda na czółnie szła zrazu dobrze, wkrótce jednak spostrzegłem, że zamiast się przybliżać oddalamy się wzajemnie, gdyż pelikan, mimo swej ciężkiej rany wiosłował znacznie szybciej odemnie. Na dobitkę zeszedłem w bok z prądu i wkrótce ugrzązłem w namule. Wszelkie usiłowania, aby ruszyć z miejsca, były nadaremne — nareszcie złamałem wiosło. Nie pozostało mi nic innego, jak wleść w namuł i wodę letnią

powyżej kłębów i zepchnąć w ten sposób czółno na prąd głębszej wody. Przyjemny ten manewr musiałem jeszcze kilka razy w dniu tym powtarzać, a w rezultacie miałem tylko tę przyjemność, żem widział, jak mój zbarczony pelikan do albańskiego brzegu dobił. Bez zdobyczy zatem, częścią na czółnie, częścią brodząc przez najpłytszą część jeziora, wróciłem na mój brzeg, straciwszy na to więcej niż godzinę czasu.

Przy brzegach rozciąga się tu gęstwa trzcin i szuwarów, a samo zwierciadło wody, zarośnięte wodnemi roślinami i przyozdobione liliami wodnemi, wygląda jak bogaty, żółtozielony kobierzec. Dalej ciągną się łąki, poprzecinane tu i owdzie szeregami ogłowionych wierzb.

Usiadłszy na stercie połamanej trzciny obsuszyłem się wkrótce do słońca, „Ballo“ jednak wolał inaczej, gdyż na wzór dzików, wytarzał się porządnie w namule. Było to może w przeczuciu Sirocca, który zaczął dąć gwałtownie i napędził czarne piorunowe chmury. Urządziłem sobie tedy zakryte legowisko wśród trzciny, a zrzuciwszy odzienie i nałamawszy gałęzi wierzbowych powtykałem je na brzegu, maskując moją budę od strony jeziora. Po wieczerzy, która się składała z kieliszka koniaku, chleba i szynki, paliłem papierosy do 10 w nocy, aby złośliwe komary rozpędzić, gdy wtem spadł deszcz ulewny. Błyskawice, grzmoty i zlewa zabawiały mnie przez resztę nocy. Jezioro bywało czasem jak wśród dnia błyskawicami oświetlone i przedstawiało szczególnie dziki i romantyczny obraz. Dopiero o 2 godzinie nad ranem ustała burza.

Robinsonady tego rodzaju przebywałem już nieraz w mem życiu, i ta więc nie zdołała mi odebrać humoru, choć byłem do nitki przemoknięty. A broń, amunicyę i zdobycz moją zdołałem uchronić dzięki wybornemu płaszczowi gumowemu. Po serdecznym hauście z manierki rozpocząłem więc nowy dzień przyglądając się bąkom, których demoniczne wołanie rozlegało się wśród nocy w chwilach wolnych od grzmotu.

Gdy trochę rozedniało, udałem się na moje wczorajsze stanowisko, zostawiwszy psa przy reszcie manatków. Zaledwom się zbliżył, ujrzałem przy brzegu coś ciemnego, przewalającego się w wodzie. Czyżby to miała być jaka wodnica z albańskich podań? Począłem rzecz badać bliżej i rozpoznałem wydrę, ale nim mi się udało złożyć, znikła pod wodą i już się więcej nie wynurzyła. Po tem krótkiem intermezzo stanąłem jak słup nieruchomy, gdyż powietrze poczęło zewsząd rozlegać się ptasiemi nawoływaniami.

Przemknęło naprzód kilka czapel i mew srebrzystych, kilka kormoranów małych siadło na gałęziach, pelikany pojawiły się w oddali i poczęły się ku piaszczystej ławicy zbliżać. Przed samem ukazaniem się słońca, siedziały już dwie baby (pelikany) na ławicy. Do jednej z nich dałem trzy strzały i zawsze zgórowałem, gdyż, jak wiadomo, wymiar odległości na wodzie jest dla oka bardzo łudzącym. Dopiero po czwartym strzale począł się drugi pelikan rzucać kurczowo, a pierwszy, rozwinąwszy skrzydła, odleciał ociężale przeciw wiatrowi.

„Ballo“, przybiegłszy na odgłos strzałów, rzucił się ku ławicy i chwycił pelikana za skrzydło, lecz gdy oberwał dobrze wymierzony cios dziobem, puścił zaraz i zadowolnił się szczekaniem. Po kilku minutach przyniosłem sam nieżywego już ptaka, brodząc przez część jeziora. Niebawem wpadło mi jeszcze w rękę kilka kormoranów małych i czapel srebrnych, które strzałami z gałęzi pościągałem.

Po wschodzie słońca zerwała się gwałtowna burza, w której przeziębłem okrótnie; schroniłem się tedy napowrót między trzciny i zabrałem się do ściągania skórek z ubitego ptactwa.

W ciągu przedpołudnia skonstatowałem jeszcze następujące gatunki ptaków: orły krzykliwe, czaple, świstunki, (*Sylvia sybilatrix*) bataliony i żołny.

Zdobycz moja powiększyła się o kilka rybołówek, a między tem rybołówkę białoskrzydłą. Gdym jednę z całego stadka na wodę spuścił, rzuciły się inne z krzykiem ku zastrzelonej, tak, że mogłem jeszcze dalej do nich strzelać i w kilku minutach siedm ubiłem. Okrążały także mego kasztanowatego „Balla“, podobnie, jak to czajki czynić zwykły. Później udało mi się jeszcze zdobyć dwie żołny, które się niżej niż zwykle w locie spuściły.

Tymczasem nadeszło południe. I ja i „Ballo“ byliśmy głodni. Wydobyłem tedy resztę mych zapasów. Nie była to lukullusowa uczta, spożywaliśmy ją jednak ze smakiem, a ja wkrótce wpadłem w objęcia Morfeusza. Gdym się obudził, nachylało się już słońce ku zachodowi. W tej chwili przemykał się jakiś cień poprzed zasłoną trzcin. Nie namyślając się wymierzyłem i strzeliłem. Był to orzeł bielik niosący w szponach kaczkę ku albańskiemu wybrzeżowi.

Lecz był już i czas do powrotu. Torba moja wypełniła się skórkami ptaków, a natomiast znikł prowiant i wyczerpał się zapas tytoniu. Ruszyliśmy tedy, „Ballo“ naprzód, ja za nim, aby jeszcze przed wieczorem dotrzeć do gościnca. Koło północy stanęliśmy w Podgoricy, głodni i wyczerpani, a nie musiałem świetnie wyglądać, gdyż ludzie po drodze na widok mój zmykali, żegnając się ukradkiem, jakgdybym był jakimś egzotycznym zbójem lub czartem we własnej osobie.

* * *

W kilka dni po tej wyprawie poszedłem do bazaru, aby odszukać znajomych Albańczyków. Wkrótce spostrzegłem zaprzyjaźnionego mi Gusińczyka (z Gusinja niedaleko Peczu) Avdula Starowa, który, pomimo, że miał jedno oko wystrzelone, słynął jako myśliwy. Człowieka tego, którego przodkowie, bracia i on sam słynęli szaloną odwagą, poznałem w roku 1890. Dał mi wówczas swój „amanet“, co znaczy tyle, że gdyby mi kto co złego w kraju wyrządził, mógł być pewnym jego i jego krewnych zemsty.

Avdul miał nazajutrz wracać do domu. Ofiarował mi przeto konia, abym mu w drodze towarzyszył i w domu jego zamieszkał, podobnie jak w roku 1890, gdym przez 15 dni w górach tamtejszych polował. Przyjąłem to uprzejme zaproszenie i dowiadywałem się o znajomych, między innymi o baszę z Gusinja. Niestety — odrzekł — basza już nie żyje. Trafiła go kula mordercza z pobliskiego wzgórza w chwili, gdy się golił.

Po obiedzie dosiedliśmy koni i urządziliśmy wycieczkę na górę Malo bordo, która nad Podgoricą panuje. Jest to zwalisko skał ze skąpą bardzo roślinnością. Na szczycie widnieją ruiny zamczyska tureckiego, gdzieśmy byli pewni trafić na kuropatwy kamionki. Chciałem towarzyszowi dać moją śrutową dubeltówkę, lecz jej nie przyjął, twierdząc, że umie strzelać tylko kulami ze swego sztućca systemu Martini. Dodał przytem, że do ptaków nigdy nie strzela, bo mu żal prochu. W godzinę byliśmy w zamczysku i usiedliśmy pod szczątkami muru. „Ballo“ tymczasem skakał od kamienia do kamienia i wkrótce zasygnalizował kamionkę. Podnieśliśmy się tedy, a gdy pies parę kamionek wypłoszył, ubiłem jednę. Niebawem zerwały się jeszcze trzy sztuki; z tych jedna padła, druga została zbarczoną, a trzecią chybił Avdul, strzelając do niej kulą.

Po tej strzelaninie wracaliśmy nazad do Podgoricy. Sikorki szczelinowe, pustułki, gołębie skalne i puszczyki (pójdźki) — oto pierzasta fauna, którą tu widziałem. U stóp góry wypędził pies zająca, który padł od pięknego strzału kulą ze sztućca Avdula. Hodża nawoływał już ze szczytu minaretu wiernych do modlitwy i zapadła noc, gdyśmy w Podgoricy z powrotem stanęli.

Po wieczerzy na mojej kwaterze, sprowadził Avdul konie swe z „hanu" (gospody), gdzie poprzednią noc przepędził, i wkrótce przygotowaliśmy wszystko do drogi.

Dnia 21 września, wcześnie z rana, zbudził mnie mój przyjaciel. Ubrałem się bardzo prędko w „opanki" (chodaki), szerokie szarawary płócienne, koszulę o bardzo szerokich rękawach, i biały fez z niebieskim kutasem. Wziąwszy pas z nabojami, rewolwer za pas i mój sztuciec winczesterski na plecy a dubeltówkę przez ramię — byłem gotów. Avdul zabrał mój płaszcz gumowy, torbę z prowiantem i narzędziami do preparowania oraz nieoszacowaną manierkę. Konie parskały — świsnąłem więc na „Balla" i ruszyliśmy wzdłuż Rybnicy ku Kakaryckiej górze.

Na brzegach rzeki poiło się mnóstwo skalnych gołębi. W pół godziny wjechaliśmy już w góry, a w kwadrans później przebyliśmy granicę. Skracając drogę przerzynaliśmy zrazu puste skalne płaskowyże a potem zaszyliśmy się w gęsty bór. Nagie szczyty skał okrążały rdzawe i szare sępy oraz orły przednie, które się tu gnieżdżą. Dostaliśmy się wreszcie przez Zatrebacz na lesistą wyżynę Orachowa, skąd wspaniały roztacza się widok, zamknięty od wschodu górami Prokletja, dotychczas mało zbadanemi, gdzie jeszcze przechowują się gatunki zwierza, będące już w reszcze Europy na wymarciu. Są tu: orło-sęp (*Gypaetus barbatus*), kozica, podobna do kozy bezoarowej, a prawdopodobnie i koziorożec. Ojciec Avdula upolował był kozicę. Widziałem różki jej przybite nad drzwiami wchodowemi, skądby ich za skarby świata nie oddał, bo chronią od wszelkiego nieszczęścia.

W ciągu dalszej naszej drogi spotkaliśmy gromadkę Albańczyków, których Avdul jako swych krewnych powitał. Przestrzegli oni mego towarzysza, że na drodze, którą jedziemy, czycha na niego kilku Klimentich, chcących wziąć krwawy odwet. Usprawiedliwił się więc, że musi zmienić rutę i jechać dalszą drogą, na którą dwa dni potrzeba. Było mi to za długo. Pożegnałem przeto Avdula, przyrzekając mu, że kiedy indziej do chaty jego zawitam, a sam udałem się pieszo do Medunu koło Fundine i zapukałem tam do drzwi znanego bohatera Czarnogórza, Wojewody Marka Milanowa.

Tu, przyjęty uprzejmie przez gospodarza, przenocowałem, i nazajutrz d. 22 września o godz. 3 rano puściłem się pomiędzy skały. Po dwugodzinnem, bardzo mozolnem wspinaniu się, dostałem się niedaleko sępich gniazd.

Ze wschodem słońca, w nyżach skalnych, gdzie były gniazda wyścielone, podniosły się ciemne, poważne postacie i odleciały prawie bez szmeru. Były to ścierwniki. Nieco wyżej opuściły też swe gniazda sępy rdzawe, poczęły krążyć nad skałami i poleciały ku jezioru Skodarskiemu. Na strzał przyszyły mi tylko dwa ścierwniki, które też ubiłem. Do wymykającego się orła przedniego dałem trzy strzały lecz bezskutecznie. Niezliczone pustułki opuściły na odgłos strzału swe kryjówki w skałach, a zresztą oprócz orła gadożera i pomurnika nie spostrzegłem nic szczególniejszego.

Skwar południowy zmusił mnie do odwrotu. Do 4-ej popołudniu przesiedziałem nad pobliskiem źródłem, a popołudniu obserwowałem jeszcze olbrzymie latawce, jak do swych gniazd powracały. Słońce kryło się już poza szczyty, gdy sępy poczęły krążyć nad skałami, spuszczając się coraz niżej, aż wreszcie dosięgły swych szczelin skalnych, unosząc się prawie bez ruchu skrzydeł w powietrzu.

Gdy noc już zapadła, wyszukałem sobie i ja pośród skał schronisko, aby wraz z orłami i sępami przenocować, używając poczciwego „Balla" za poduszkę.

Nazajutrz rano ubiłem jeszcze rdzawego sępa, po drodze kilka kamionek, i wróciłem przez Dolianę do domu.

KORESPONDENCYE.

Stryj w październiku 1895.

(Sprawozdanie Towarzystwa myśliwskiego „Stryj" za rok 1894/5.)

Jakkolwiek na początku nowego sezonu myśliwskiego nie na czasie może będzie wspominać dzieje ubiegłego, to przecież trzymając się zasady: „lepiej późno, niż nigdy", przesyłam tę spóźnioną korespondencyę. Wprawdzie Towarzystwo nasze myśliwskie kurczy się i maleje, gdyż spadło do liczby członków 16, więc korespondencya nie będzie zajmującą, nie można jednak tego powiedzieć, by Towarzystwo upadało, gdyż rezultaty ostatniego sezonu myśliwskiego dają dowód, że ma ono racyę bytu w Stryju, i że gospodarka nasza myśliwska nie jest tak złą, jak to przeciwnicy w ogóle wszelkich towarzystw myśliwskich podnoszą. Przeciwnie stan zwierzyny, chociaż słabo, stale się podnosi w naszych rewirach i gdyby Towarzystwo nie miało tyle przeszkód do zwalczania i nie było krępowane bardzo słabym stanem finansów, rezultaty byłyby z pewnością o wiele lepsze.

Polowań urządziliśmy w sezonie ubiegłym 19, zwykle w 7 do 8 strzelb, na których padła następująca ilość zwierzyny: dzików 6, rogaczy 20, lisów 20, zajęcy 113, słonek 10, jarząbków 3, strzałów padło 423. Prócz tego padło na polowaniach luźnych kilkadziesiąt zajęcy.

Stan tychże w porównaniu z poprzednim sezonem poprawił się znacznie, to samo i sarn przybyło nam wiele; niestety! przyrost ten w obecnym sezonie znika, gdyż sarny z końcem ubiegłej zimy i u nas dotkliwej doznały klęski. Dziki mieliśmy tylko przechodnie i to tylko w jesieni i w lecie, kiedy rzadko w kniei się poluje; po pierwszym śniegu i mrozie znikają u nas dziki na dłuższy czas i pojawiają się znów na wiosnę. Ptactwa błotnego było tego roku u nas bardzo mało, szczególniej kszyki pojawiały się tylko sporadycznie; tak samo i amatorzy polowań na przepiórki i chruściele uskarżali się, że ptactwa tego było bardzo mało, chociaż rok był dosyć wilgotny i błota prawie zawsze były mokre.

Rezultaty, jakie sezon ubiegły dla nas wykazał, są wprawdzie cyfrowo jeszcze bardzo małe, gdyż ilość taka

zwierzyny pada czasem na jednem polowaniu. Kto jednak ma rewiry polowań gminnych, gdzie do późnej jesieni bydło i owce się pasą i pastuchy z psami dzień i noc w lasach lub łozach przebywają i kto zna stosunki nasze w ogóle w Galicyi, gdzie kłusownictwo grasuje bezkarnie i coraz lepiej się rozwija, ten nam przyzna że trzeba było dużo zachodu, dużo walk z kłusownikami i sporą dozę cierpliwości by doprowadzić rewiry do takiego stanu, by na każdem polowaniu bodaj tyle zajęcy padało ilu jest strzelców.

B. W.

Sprawozdania łowieckie.

Z Galicyi.

— W dobrach ordynacyi Zarzeckiej Jego Excelencyi Włodzimierza hr. Dieduszyckiego, odbyło się polowanie w dniach 10., 11. i 12. października i udało się znakomicie. Pomimo, że z gąszczów liściastych zające niedawały się wypędzić na linię, lecz cofały na pogonkę i że nie więcej jak 7 miotów dziennie braliśmy, padło przecież 174 zajęcy, 21 lisów, 8 rogaczy, 7 słonek, 2 kuropatwy i jastrząb — razem 213 sztuk. W polowaniu brali udział: Exc. gospodarz, Stan. hr. Gołuhowski, Karol hr. Dieduszycki, Stefan Prek, Wład. Bzowski, Tadeusz i Józef Cieńscy, Eustachy i Zdzisław Wolscy, Adam i Witołd ks. Czartoryscy, Andrzej ks. Lubomirski, Stan. hr. Siemieński, Marceli Markiewicz, Zdzisław Skrzyński, Wład. Górski, Teofil Żurowski i Osoliński.

Ilości strzałów nie wiem, ale uważałem, że liczba strzałów chybionych była dość znaczną, zapewne z powodu, że liść na gęstych młodych pędach nie dozwalał widzieć zwierza w miocie ani go strzelić za linią. Tej okoliczności zawdzięcza życie niejedna sztuka zwierzyny.

Hawłowice 13. października. *Teofil Żurowski.*

— W Olejowie na czterodniowem polowaniu od 7. do 10. października, zabito 84 słonek, 52 lisów, 1 rogacza, 1 gołębiarza i 25 zajęcy. Strzałów padło 554.

A. Wodzicki.

KRONIKA.

Święty Michał — starym zwyczajem — otrąbił już łowy kniejowe, tu i ówdzie na czarnej stopie poluje brać św. Huberta, rozlega się echo strzałów, nawet wśród turni tatrzańskich przy polowaniu na mysia — ale przyjaciele „Łowca" milczą jak zaklęci, żadne sprawozdanie nie leci na skrzydłach Merkurego, przekształconego dziś w c. k. pocztę i telegraf — i „Łowiec" chyba ukradkiem dowiaduje się, co tam między myśliwymi słychać?... Czy tak być powinno — pozostawiamy rozmyślaniu naszych najmilszych czytelników. Spodziewamy się, że tu i ówdzie na samotnem stanowisku, wśród szmeru cicho spadających liści jesiennych, odezwą się w myśliwskich sercach wyrzuty i że „Łowiec" nie będzie ostatnim, któremu się opisze to i owo polowanie, lub tę i ową ciekawszą przygodę myśliwską. Prosimy!

Niedźwiedzie w Zakopanem. Lato tegoroczne odznaczało się obfitością niedźwiedzi w Tatrach. W Zakopanem w dniu 13. września b. m. odbyło się polowanie, na które hr. Władysław Zamoyski, zaprosił Sienkiewicza, Pochwalskiego i hr. Tadeusza Dieduszyckiego. Doskonale otropiony, mimo czarnej stopy i trudnego terenu, olbrzymi brunatny niedźwiedź natychmiast po ruszeniu naganki wpadł na górala, stojącego między Sienkiewiczem, a hr. T. Dieduszyckim. Po ich strzałach zwierz runął na chwilę, następnie jednak zerwawszy się, wpadł z rykiem w nieprzebyte gąszcze świerkowe. Myśliwi, z palcami na cynglach, udali się za zwierzem, który farbował obficie z obu boków, miejscami zaś pokładał się, drąc pazurami mchy. Pościg trwał aż do granicy węgierskiej, na której zaczynają się posiadłości ks. Hohenlohego, poczem dalsze śledzenie za zwierzem zdano straży leśnej. W miocie, wziętym na krótko przed wieczorem, znalazł się i drugi stary myś, który jednak, przewróciwszy chłopa, przeszedł przez nagonkę. Prócz tych, w lasach hr. Zamoyskiego znajduje się jeszcze niedźwiedzica z trojgiem młodych.

Wyprawę myśliwską do Afryki, która z wielkim sumptem jest przygotowywaną i będzie niewątpliwie jedną z najciekawszych, podejmuje grono znakomitych łowców polskich. Należą do niej hr. Józef Potocki, hr. Tomasz Zamoyski i hr. Zdzisław Tarnowski. W ciągu lata przygotowano najskrupulatniej wszystko, co do tak trudnej wyprawy jest potrzebne, a wyjazd nastąpić ma w pierwszych dniach grudnia. Obszarami czarnego kontynentu, który dla eksploracyi myśliwskiej obrano, są krainy Somalisów i Galasów. Od rządu angielskiego udało się uzyskać protekcyę w formie eskorty zbrojnej, a domy handlowe angielskie dostarczają niezbędnych dla takiej wyprawy przedmiotów jak: namiotów, wielbłądów, ubrań, konserw, przyborów tualetowych, kuchennych, filtrów na wodę, napojów i zapasu wody mineralnej, używanie bowiem wody miejscowej jest niemożliwem dla Europejczyka, a przytem wyprawa w ciągu dni sześciu przeciągać będzie przez kraj całkiem pozbawiony wody. Łowcy nasi kupili już 70 wielbłądów, które zostały wyekspedyowane do Adenu, twierdzy angielskiej. Orszak składać się będzie ze 170 murzynów, pełniących czynności tragarzy, naganiaczy i t. d.

Spodziewać się należy, iż wyprawa tak znakomicie we wszystko zaopatrzona, nietylko dostarczy trofeów łowieckich, lecz wzbogaci także wiadomości geograficzne o krajach tych niewiele jeszcze zbadanych.

Puchacz powodem śmierci. Pewien leśniczy w Petersdorf trzymał w mieszkaniu na łańcuszku puchacza, który pewnego dnia szarpnąwszy silnie, przerwał swe więzy i chciał uciec ze swego dotychczasowego więzienia. Spostrzegłszy to leśniczy uchwycił puchacza, lecz ten, broniąc się zajadle, podziobał leśniczego nieznacznie po rękach i twarzy. Zrazu leśniczy nie zważał wcale na te drobne skaleczenia, lecz po kilku dniach twarz się rozogniła i spuchła do tego stopnia że zanim przywołano lekarza — już było za późno; biedny leśniczy skonał w najokropniejszych bolach na zakażenie krwi.

Jeśli to nie humbug amerykański, to ciekawą rzecz opowiadają pisma zaatlantyckie. Oto w New-Liberty, w stanie Kentucky zdarzyło się, iż rolnik Jone Holeman spostrzegłszy pewnego razu, że wąż położył się na gnieździe opuszczonem przez kurę, postarał się o to, aby gad nie był niepokojonym i doczekał się... kurcząt, wysiedzianych przez węża! Ten przybrany ojciec czy matka ma się nawet bardzo troskliwie zajmować swem pokoleniem kurcząt.

Członków gal. Towarzystwa łowieckiego upraszamy o jak najrychlejsze wyrównanie zaległości za r. 1894. Jest ona tak znaczną, że sprawia wydawnictwu nadzwyczajne trudności i przyczyniła się między innemi do opóźnienia w wydaniu niniejszego numeru.

Sekretarz i Skarbnik gal Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Zyblikiewicza 5.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.